

LEONARDO SCIASCIA

TUDO MODO

przełożyła Zofia Ernstowa
Czytelnik Warszawa 1977



Ponieważ zaiste dobro, będące u źródła wszystkich rzeczy, jest zarazem wyrażalne w wielu słowach, w kilku słowach, a także bez słów, w tym stopniu, w jakim nie można o nim orzekać ani go, poznać, ponieważ wykracza ono poza wszystko w sposób inny niż wszystkie substancje i objawia się bez zasłon i prawdziwie tym, którzy wnikają zarówno w rzeczy czyste jak i nieczyste i wstępując wzwyż idą ponad wszystkie szczyty najświętsze, i odwracają się od wszystkich światła boskich i dźwięków, i słów niebiańskich, i zatapiają się w ciemnię, gdzie prawdziwie – jak mówi Pismo – znajduje się ten, który jest ponad wszystkimi rzeczami... I powiadamy, że owo dobro nie jest ani duszą, ani umysłem, że nie ma ono ani wyobraźni, ani mniemania, ani rozumu, ani nie myśli, nie jest ani rozumem, ani myślą, nie można go wyrazić ani pomyśleć. Nie jest ani liczbą, ani uporządkowaną wielkością w zakresie małości, równości, nierówności, podobieństwa, niepodobieństwa. Nie jest ani nieruchome, ani nie jest w ruchu, nie jest w stanie spoczynku i nie ma mocy działań ani też nie jest możliwością, ani światłem. Nie żyje i nie jest życiem? Nie jest substancją ani *aevum*, ani czasem, nie można go objąć intelektualnie. Nie jest wiedzą i nie jest prawdą ani mocą królewską, ani mądrością? Nie jest jednią, nie jest bóstwem ani dobrocią, ani duchem, zgodnie z naszym pojmowaniem ducha. Nie jest relacją synostwa ani ojcostwa, ani żadną inną rzeczą z tego, co znane jest nam albo jakimkolwiek innym bytom. Nie jest też niczym z tego, co należy do niebytu, ani z tego, co należy do bytu? ani byty go nie poznają takim, jakie jest samo w sobie, tak jak ono poznaje byty, w tym stopniu, w jakim one są bytami. Nie można go ani pojąć, ani nazwać, ani poznać? Nie jest ono ani ciemnością, ani światłem, nie jest błędem i nie jest prawdą...

Odrzucił ostatnią zasłonę wstydu, cytując świętego Klemensa z Aleksandrii.

Casanova, *Historia mojego życia*

„W myśl słynnej definicji określającej wszechświat Kanta jako łańcuch przyczynowości uzależniony od aktu wolnego – mówi największy krytyk włoski naszych czasów – można by scharakteryzować wszechświat Pirandella jako odwieczne poddaństwo w świecie bez muzyki, uzależnionym od nieograniczonych możliwości muzycznych aż do doskonałej, w pełni urzeczywistnionej muzyki pojedynczego człowieka”.

Wyobrażałem sobie, że przebyłem *à rebours* cały łańcuch przyczynowości? i że otwarły się na nowo przede mną, pojedynczym człowiekiem, nieograniczone możliwości muzyczne pewnych chwil dzieciństwa, wieku chłopięcego: gdy latem na wsi spędzałem długie godziny wśród drzew i wody, w zakątku, który w moim pojęciu był niedostępny, odcięty od świata? i całe życie, krótka przeszłość i bardzo długa przyszłość zlewały się muzycznie i nieprzerwanie z wolnym aktem w terażniejszości. I z wielu przyczyn – z których nie wymienilibym na ostatnim miejscu tej, że się urodziłem i żyłem przez wiele lat w rodzinnych stronach Pirandella, między bohaterami Pirandella, z urazami Pirandella (tak dalece, że nie potrafiłbym już oddzielić ani w uczuciach, ani w pamięci twórczości pisarza od życia, którym żyłem niemal po wiek dojrzały) – z wielu więc przyczyn roztrząsałem w myśli coraz to wyrazistsze (tak, że przytaczam je bez sprawdzenia) zdanie krytyka: właśnie jako frazę czy motyw nieskończonych możliwości muzycznych, jakimi rozporządzałem. A przynajmniej łudziłem się, że rozporządzałem.

Powiedziawszy prościej: nie miałem żadnych zobowiązań ani

zawodowych, ani uczuciowych; miałem zasoby, okazałe czy skromne (ale udawałem, że skromne), pozwalające mi zaspokoić każdą potrzebę, nawet kaprysy; nie miałem żadnego programu i żadnego celu (poza przypadkowymi godzinami snu i posiłków); i byłem sam. Nie trapiły mnie żadne troski, żadne lęki. Poza tymi, nieokreślonymi i nieprzezwyciężonymi, jakie zawsze budził we mnie sam problem istnienia, życia: a z nim wiązały się i sprzęgały lęk i troska, wypływające z aktu wolnego, którego musiałem w końcu dokonać, lecz były one lekkie i trochę bierne, jak gdyby rozmigotała się we mnie gra luster, nie obsesyjna, ale świetlista i pogodna jak ta pora dnia i te okolice, przez które przejeżdżałem, gra gotowa pomnożyć, powielić mój akt wolny, gdybym go dokonał, gdybym zechciał go dokonać.

Jechałem samochodem. I ten środek lokomocji, którego raczej nie lubiłem i używałem bardzo rzadko, stał się współuczestnikiem mojej wolności, z chwilą gdy się zdecydowałem być wolny. Prowadziłem wóz nie za szybko i bardzo spokojnie, mogłem więc bezkarnie sobie pozwolić na roztargnienie podczas jazdy. I właśnie dzięki owej umiarkowanej szybkości i spokojnemu kontemplowaniu okolicy dostrzegłem na jednym z zakrętów napis: „Pustelnia Zafera 3”, czarny na żółtym tle; uczepliły się go natychmiast, jak haczyka u wędki, mój lęk i niepokój. Zatrzymałem się i włączywszy tylny bieg cofnąłem się pod czarno-żółtą tablicę. „Pustelnia Zafera 3”. Słowo pustelnia, imię Zafer, liczba trzy: każdy z elementów tego napisu był dla mnie na swój sposób i nieodparcie sugestywny, a sugestię potęgowało to, że było ich trzy, że powtarzała się liczba trzy, jak również to, że właśnie trzy dni temu zaczęła się moja niczym nie skrępowana włóczęga (a muszę się przyznać, że mam lekki, ale trwały uraz, który sam nie wiem, skąd się wziął i jak się we mnie zakorzenił, uraz na punkcie trójki). Pustelnia to ustronie, lecz nie ustronie stworzone przez naturę, jakie odkrywa się w pełni i naprawdę docenia, kiedy się jest

w towarzystwie: piękny zakątek, jak zwykle się mówić; ale samotnia, w której odzwierciedla się inna samotność, ludzka, przepojona uczuciem, kontemplacją czy nawet szaleństwem.

A ten Zafer – czy to świątobliwy muzułmanin, czy chrześcijanin? I było to 3 kilometry stąd: trzy, ani mniej, ani więcej. Wykonałem krótki manewr, by skręcić na asfaltowaną boczną drogę (asfalt winien był wzbudzić moją nieufność), i zacząłem jechać pod górę. Korkowe dęby i kasztanowce tworzyły tunel, w powietrzu unosił się zapach późnych żarnowców. I nagle ogromny dziedziniec, też asfaltowany, zamknięty z jednej strony betonową budowlą, ohydnie podziurawioną wąskimi, podłużnymi oknami. Zatrzymałem się, zawiedziony i zły: ponieważ droga tu się urywała, pustelnię musiał być ów szkaradny gmach. Najprawdopodobniej hotel. Wahałem się przez chwilę: czy zawrócić nie wysiadając z samochodu, czy wysiąść, aby się rozejrzeć i dowiedzieć, kto wystawił ten budynek i po co. Zwyciężyła ciekawość; a również chęć wzięcia odwetu za ten zawód i wyładowania na kimś – bo ktoś musiał tu przecież być, choć wszystko wydawało się nie zamieszkaną i wokół panowała niczym nie zmącona cisza – mojego oburzenia, że zamiast do pustelni trafiłem do hotelu. Wsiadłem z samochodu i zamknąłem go na kluczyk, bo ta cisza miała w sobie coś tajemniczego i złowrogiego. Główne drzwi budynku, duże, oszklone, były otwarte. Wszedłem i, jak przewidywałem, znalazłem się w hallu hotelowym. W recepcji, na tle najeżonej kluczami tablicy, siedział ksiądz. Czytał „Linusa”. Młody, ciemny, długowłosa. Gdy mnie zobaczył, w jego oczach odmalowało się zniecierpliwienie. Na moje powitanie odpowiedział bezgłośnie, poruszając wargami.

– Bardzo przepraszam: czy to jest pustelnia, czy hotel?

– To jest i pustelnia, i hotel.

– Pustelnia Zafera?

- Pustelnia Zafera, w rzeczy samej.
- A hotel?
- Co: hotel? – Najwyraźniej był znudzony.
- Jak się nazywa hotel?
- Zafera – i sylabizując słowa, abym je sobie wbił w pamięć: – Hotel Zafera.

– Pustelnia Zafera. Hotel Zafera. Dobrze. A kto to był Zafer?

– Pustelnik, oczywiście, skoro to była pustelnia.

– Była – podkreśliłem.

– Jest.

– Powiedział ksiądz: była... A czy to był pustelnik muzułmański?

– Skądże znowu muzułmański: myśli pan, że kontynuowalibyśmy kult muzułmanina?

– Dlaczego nie? Ruch ekumeniczny...

– Ekumeniczny ruch nie ma z tym nic wspólnego... Był muzułmaninem, a potem się nawrócił na prawdziwą wiarę.

– Na prawdziwą wiarę... przecież to określenie czysto muzułmańskie.

– Chciałem go nękać dalej.

– Być może – odparł ksiądz i zaczął zerkać na „Linusa”, by mi dać do zrozumienia, że go nudzę i że mu przeszkadzam.

– O ile nie przeszkadzam – położyłem nacisk na ostatnim słowie, aby się domyślił, że chcę mu przeszkadzać – pragnąłbym się czegoś dowiedzieć o Zaferze, o jego pustelni... I o hotelu.

– Pan jest dziennikarzem?

– Nie. Dlaczego ksiądz tak myśli?

– Jeżeli pan jest dziennikarzem, to na próżno traci pan czas: skandal już był.

– Jaki skandal?

– W związku z hotelem: że nie trzeba go było stawiać, że jest brzydki...

To wszystko już było: przed trzema laty.

– Nie jestem dziennikarzem. I chętnie dowiedziałbym się czegoś również o tym skandalu.

– Dlaczego?

– Nie mam nic do roboty. I ksiądz też, jak widzę.

Rzucił na „Linusa” spojrzenie pozbawione wszelkiej nadziei.

– Prawdę powiedziawszy – rzekł – miałbym coś niecoś do zrobienia.

– Co takiego? – zapytałem impertynencko, prowokacyjnie.

– Och – powiedział i zrobił gest wyrażający to wszystko, co ma do zrobienia, istny wir zajęć, który mu pochłonie mnóstwo czasu, mnóstwo sił: i dlatego na razie, aby się pokrząć przed czekającą go próbą, czytał „Linusa”.

Powiedziałem mu to. Poczł się urażony, lecz stał się uprzejmiejszy.

– Co ja mogę panu powiedzieć? O samym skandalu, to znaczy, jak cała sprawa została przedstawiona przez pewne dzienniki i przez pewne osobistości polityczne, wiem bardzo mało. Tyle że był, to wszystko. Była tu pustelnia, walące się domostwo, zaniedbany kościółek; i don Gaetano przed trzema laty postawił ten hotel... Republika otacza ochroną krajobraz, wiem; ponieważ jednak don Gaetano otacza ochroną republikę... Słowem, zawsze to samo... – Uśmiechnął się cierpko. Trudno było się zorientować, czy ma żal do don Gaetana, czy do republiki.

– A kto to jest don Gaetano?

– Pan nie wie, kto to jest don Gaetano? – Na wpół zdziwiony, na wpół niedowierzający.

– Nie wiem. Powinienem wiedzieć?

– Powiedziałbym, że tak. – Rozmowa zaczynała go bawić.

– A dlaczego?

– No przecież ze względu na to, co zrobił, ze względu na to, co robi...

– Zbudował ten hotel; czy wszystko, co robi, jest w tym samym

guście?

– Zbudował ten hotel, że tak powiem, lewą ręką.

– A prawą?

– Szkoły: dziesiątki, może nawet setki. Wszędzie. Wszelkiego rodzaju.

Nawet uniwersytet.

– Setki szkół i hotel.

– Trzy hotele.

– Ach, trzy hotele? I zawsze burzył przy tym pustelnie?

– On nie burzy pustelni: zespala je z całością. Tu pustelnia Zafera jest nienaruszona. Stała się kryptą.

– I można ją zobaczyć?

– Tak, można zobaczyć. – Westchnął znużony, spodziewając się, że go poproszę, by mi ją pokazał.

Nie poprosiłem go.

– A don Gaetano? – zapytałem.

– Co don Gaetano?

– Czy można zobaczyć również don Gaetana?

– Oczywiście: jest tutaj. Spędza tu całe lato. Z hoteli, które zbudował, upodobał sobie szczególnie ten.

– A dlaczego?

– Nie wiem. Może wiąże go z tą okolicą wspomnienia z dzieciństwa.

A może dlatego, że przypłacił jego budowę dłuższą wojną... Ale wygrał ją.

– Najwidoczniej nie mógł jej nie wygrać.

– No tak, nie mógł jej nie wygrać – przyznał. Nuta pychy złagodzona była szczyptą skromności.

Rozejrzałem się dokoła.

– Cichy, bo cichy – powiedziałem. – Ale czy jest też wygodny?

– Hotel? Wyjątkowo wygodny.

– Zatrzymałbym się tu na kilka dni – oświadczyłem.

– To niemożliwe.

– Wszystko zajęte? – Ironicznie: ponieważ hotel zdawał się, i był, pusty.

– W tej chwili łącznie z personelem jest nas dwadzieścia jeden osób. Ale pojutrze będziemy mieli komplet.

– Goście przyjeżdżają wszyscy naraz?

– To, są specjalni goście. – Zrobił pauzę; po czym, jak gdyby mi wyjawiał sekret: – Rekolekcje.

– Och, rekolekcje. – Udawałem zdziwienie stosowne do zwierzenia, jakim mnie obdarzył. Bogiem a prawdą, byłem jednak trochę zdziwiony. Już od lat, od wielu lat, nie słyszałem nic o rekolekcjach; i myślałem, że już się nie odbywają. Było o nich głośno w okresie mojego dzieciństwa, kiedy przyjeżdżały w nasze strony misje paulinów: stanowiło to wielkie wydarzenie roku, równie ważne jak występy gościnne operetki *Petito-D'Aprile* i teatru dramatycznego *D'Origlia-Palmi*, i równie regularne. Na kazania dopuszczali paulini wszystkich, na rekolekcje niewielu; w końcu stawiali gdzieś na peryferiach żelazny krzyż dla upamiętnienia misji; i odjeżdżali. Ostatni raz słyszałem o rekolekcjach tuż po wojnie: w związku ze zbliżającymi się wyborami, pierwszymi wyborami, serię kazań wygłosił pewien dominikanin, który tak rozentuzjasmował słuchaczy z kręgów nauczycielskich i urzędniczych, że ściągnął ich wszystkich na cały tydzień do prywatnej rezydencji, oddanej mu do dyspozycji przez jednego z majątniejszych wiernych. A co najpociesniejsze, pojechali tam również masoni, którzy powrócili równie wysubtelnieni na ciele i na duchu jak ci, którzy nie byli masonami.

– Rekolekcje – powtórzył ksiądz. – Rokrocznie, zawsze w ostatnią niedzielę lipca rozpoczynają się turnusy.

– Jak długo trwa taki turnus?

– Tydzień.

– A ile jest turnusów?

– Trzy, cztery. Trzy do zeszłego roku, cztery w tym roku.

– Wiernych przybywa.

– Tak, oczywiście – odrzekł ksiądz, ale zdawkowo. Miał jakieś wątpliwości. I powracając do zwierzeń: – Najważniejszy jest jednak pierwszy turnus.

– Dlaczego?

– Ze względu na osobistości, które w nim biorą udział. – I ścisząc głos do jeszcze poufniejszych zwierzeń: – Ministrowie, posłowie, prezesi i dyrektorzy banków, przemysłowcy... I trzech naczelnych redaktorów gazet.

– To rzeczywiście ważne – powiedziałem. – I bardzo bym chciał być tutaj właśnie podczas rekolekcji, które będą odprawiać owe osobistości.

– To niemożliwe.

– Rozumiem... ale jeszcze dziś i jutro, dopóki, jak ksiądz mówił, hotel się nie zapełni: mógłbym zostać, czy tak?

– Teoretycznie...

– A w praktyce?

W praktyce, naturalnie, jeżeli don Gaetano wyrazi zgodę, musiałyby się pan dostosować, zadowolić tym, co jest: obsługa pozostawia wiele do życzenia; nie mówiąc już o kuchni...

– I byłbym jedynym, okreśmy to tak, płatnym gościem?

Nie jedynym, jest jeszcze pięć osób. – na wpół tajemniczy, na wpół zirytowany: – Pięć kobiet.

– Pięć starych cudzoziemek – powiedziałem.

– Nic podobnego: to nie cudzoziemki i nie są stare.

– Ale samotne?

Mignął mu w oczach przeblysłk złośliwości; i jak gdyby umywając

ręce rzekł: – Przyjechały same.

– Ale ksiądz ma wątpliwości co do tego, że są rzeczywiście same.

– Nie, nie... – Wahająco; i formalnie, dla ratowania sytuacji: – Chciałem powiedzieć: przyjechały same, lecz teraz wzajemnie dotrzymują sobie towarzystwa.

– Byłbym więc szósty.

– Trzeba zapytać don Gaetana.

– Zapytajmy go.

– Nie teraz. Później, kiedy nadejdzie pora posiłku. Nie można mu przeszkadzać w modłach; jest w kaplicy tu, na dole. – Wskazał palcem podłogę.

– W pustelni Zafera.

– No właśnie... Tymczasem może pan sobie pospacerować swobodnie po hotelu albo na dworze. – Rozmowa była nieodwołalnie skończona; chciwie zatopił wzrok w „Linusie”.

Wyszedłem na dziedziniec i skierowałem się do lasu. Im bardziej oddalałem się od hotelu, tym gęstsze stawały się drzewa, powietrze świeższe i pachnące żywicą. Samotność sięgała doskonałości. Zachwycałem się ową doskonałością i bez troską, z jaką mogę się nią delektować, gdy dojrzałem między drzewami jakby jezioro słońca i migające na nim kolory. Zbliżyłem się ostrożnie. Na polanie, w słońcu zobaczyłem kobiety w bikini. Były to na pewno te z hotelu, o których mówił mi młody ksiądz. Pięć, istotnie. Przysunąłem się jeszcze bliżej, wciąż ukradkiem. One też pogrążone były w milczeniu: cztery leżały na jaskrawych ręcznikach frotte; piąta siedziała pochłonięta lekturą. Miało to w sobie coś z wizji. Coś mistycznego i czarodziejskiego. Gdyby je sobie wyobrazić zupełnie nagie (ale niewiele do tego brakowało) pomiędzy głębokim cieniem lasu, gdzie znajdowałem się ja, a plamą słońca, w której kręgu znajdowały się one, w tych kolorach, zastygłe w bezruchu,

byłby to obraz pędzla Delvaux (nie mój, bo ja nigdy nie umiałem widzieć kobiety w sferze mitu czy magii, ani zadumanej, ani rozmarzonej). To był Delvaux, kompozycja, perspektywa, z jakiej je oglądałem; a także to, czego nie było widać, a co wiedziałem? że mieszkają same w tych ślepych koszarach, prowadzonych przez księży. Przez chwilę obserwowałem je po kryjomu: były bardzo zgrabne. Cztery blondynki, jedna brunetka. Na odległość trudno mi było Ocenić ich urodę, zwłaszcza że wszystkie miały duże okulary przeciwsłoneczne.

Muszę wyznać, że zaczynała mi się marzyć przygoda; i że gdy wyobraziłem sobie siebie w ich gronie, poczułem się równie szczęśliwy jak przed chwilą w niczym nie zmąconej samotności, a może nawet szczęśliwszy. Odszedłem jednak i wróciłem do hotelu.

Zastałem don Gaetana (nie mógł to być nikt inny tylko on) w recepcji, wspartego o ladę, za którą ksiądz-portier czytał teraz, zamiast „Linusa”, czarno oprawną książkę. Wysoki w długiej czarnej sutannie, nieruchomy; oczy o zagubionym w dali, przenikliwym wejrzeniu; czarny różaniec z grubych paciorków opleciony wokół lewej dłoni? prawa dłoń, duża i niemal przezroczyta, na piersi. Chociaż zdawał się mnie nie widzieć, podszedł do mnie. I wciąż jakby mnie nie widząc, wywierając na mnie przedziwne, zbliżone do halucynacji wrażenie, że się rozdwa na moich oczach, fizycznie – jedna postać sztywna, zimna, niedostępna, trzymająca mnie poza zasięgiem swojego wzroku, druga przepojona ojcowską dobrocią, przychylna, serdeczna, żarliwa – powitał mnie w progach Pustelni Zafera. Która nie była już, czy też nie była tylko, pustelnią, ale hotelem: brzydkim, to pewne, przyznawał? ale czy może dojść do ładu z dzisiejszymi architektami?... Zarozumiali, fanatyczni, nieprzystępni... Lepsi, och, o niebo lepsi byli dawni majstrowie murarscy... Słowem, nie jego wina, że hotel jest szpetny? jego zasługa, po części, że jest wygodny... Architekci!... Dwie plagi naszych czasów: architektura i

socjologia. I tylko patrzeć, jak dołączy się do nich medycyna, staczająca się do poziomu magicznych praktyk... I jak gdyby zaniepokojony:

– Mam nadzieję, że pan nie jest ani architektem, ani socjologiem, ani lekarzem?

– Jestem malarzem – powiedziałem.

– Malarzem... Tak, zdaje mi się, że poznaję pana... Chwileczkę, proszę mi nie mówić nazwiska... W telewizji, chyba ze trzy miesiące temu: nadawali program, jak powstaje obraz, pański obraz... Szczerze powiedziawszy, ukazując swój warsztat pracy, mógł pan wtedy namalować ładniejszy obraz... Myślę jednak, że miał pan w tym swój cel: jak powstaje paskudny obraz dla paskudnego świata, obraz bez polotu dla tych milionów istot bez polotu, które siedzą przed telewizorem.

– Ksiądz również siedział przed telewizorem – odrzekłem trochę zirytowany.

– To komplement, na który być może nie zasługuję: zbyt często oglądam telewizję, abym mógł utrzymywać, że nie ima się mnie bakcył głupoty... zbyt często... i nawet jeżeli jeszcze się nim nie zaraziłem, to wkrótce się zarazę... Albowiem, wyznaję, kontemplacja głupoty jest moim nałogiem, moją słabością... Właśnie: kontemplacja... Giulio Cesare Vanini, który spłonął na stosie jako heretyk, poznawał wielkość Boga kontemplując grudkę ziemi; inni kontemplują firmament. Ja ją poznaję w głupocie. Nie ma nic równie głębokiego, bezdennego, zawrotnego, bezgranicznego... Tyle że nie należy przesadzać z kontemplacją... No, doszedłem wreszcie: pan jest... – i wymienił moje nazwisko.

– System, jakim się ksiądz posłużył, aby przypomnieć sobie moje nazwisko, nie jest dla mnie pochlebny – powiedziałem żartobliwie, ale ze szczyptą urazy.

– Och, nie: kiedy mówiłem o głupocie, część moich myśli wirowała w poszukiwaniu pańskiego nazwiska, aby się o nie zazębić... To taka

szczególna maszynka, ta pamięć: przynajmniej moja... Chce pan więc pozostać tu na dziś i na jutro. To dla nas zaszczyt, ale chyba wątpliwa przyjemność dla pana. W każdym razie: cały hotel oprócz kilku pokoi, które są już zajęte, jest do pańskiej dyspozycji.

– Ale ja chciałbym tu zostać dłużej niż dwa dni: dowiedziałem się, że będą rekolekcje.

– Pragnie pan w nich uczestniczyć?

– Powiedzmy, że chciałbym ćwiczyć ducha w charakterze obserwatora cudzych ćwiczeń duchowych.

– Słowem, przez Ciekawość.

– Przyznaję.

– Albo gorzej: z chęci przyłapania innych na praktykach, które może pan uważa za nie licujące z godnością człowieka; wyśmiania ich...

– Może.

– No cóż, nigdy nic nie wiadomo.

– Co ksiądz ma na myśli?

– Nic: słyszał pan o rekolekcjach i przyszła panu ochota wziąć w nich udział... I sądzi pan, że ów impuls wywołała w panu chęć zabawienia się, wydrwienia... Nigdy jednak nie wiadomo, co się może zrodzić z tego rodzaju impulsu; akt wolności...

– ...z którym spajają się potem ogniwa przyczynowości.

Po raz pierwszy spojrział na mnie z pewnym zainteresowaniem.

– Tak – rzekł – łańcuch.

Skłonił się lekko. I zniknął.

Schodziłem na dół, kiedy usłyszałem w korytarzu przeciągły dźwięk dzwonnka, jak na dworcach, kiedy się ogłasza przyjazd pociągu: to samo brzmienie. Uznałem to za sygnał, że obiad jest gotowy; i nie pomyliłem się.

Refektarz był przestronny, zastawiony okrągłymi i kwadratowymi

stolikami, z których tylko dwa były nakryte i zajęte. Don Gaetano przywołał mnie do swojego. Miałem miejsce po jego prawej stronie. Poza nim było jeszcze czterech księży, z księdzem-portierem włącznie. Pięć kobiet siedziało przy stoliku stojącym bardzo daleko od naszego; nie tak daleko jednak, aby nie było słyszeć ich głosów, ich rozmów: mieszały się one w ich kręgu jak woda tryskająca z pięciu gardzieli do fontanny. Umilkły, gdy don Gaetano wstał do modlitwy i błogosławieństwa; udzielając go zwrócił się także do nich, ale gestem, który nie tracąc dostojęstwa miał odcień nonszalancki i jednocześnie szyderczy: jak ktoś, kto zjadłszy mięso rzuca psu ogryzione kości. Kobiety ze skrucłą nakreśliły znak krzyża na piersi, szeptem odmówiły pacierz, ponownie się przeżegnały. I znowu zaczęły szczebiotać. Don Gaetano usiadł i, zaczynając ode mnie, nalał wszystkim wina, wychwalając je ze znawstwem, ale tymi francuskimi słowami, których dziś używają nieznawcy. Było to wino, powiedział, miejscowe: z winnic na stokach pomiędzy morzem i górami? i zacytował po grecku greckiego poetę, który według niego słał właśnie to wino, z tych okolic. Potem zamilkł. Pił z przyjemnością i jadł niechętnie. A było się czym zniechęcić, potrawy źle przyrządzone, niesmaczne; i aby je przełknąć, trzeba było dodawać soli i pieprzu, które przynajmniej zaostrzały apetyt na wino, naprawdę znakomite. W końcu, tłumacząc się, don Gaetano powiedział mi, że kucharz przyjedzie jutro pod wieczór, a wtedy jedzenie będzie zupełnie inne.

To samo było z kolacją? i to samo nazajutrz ze śniadaniem. Gdyby nie zaciekawienie, jakie wzbudziły we mnie rekolekcje i ci, którzy mieli w nich uczestniczyć, byłbym wyjechał? chociaż słuchanie don Gaetana sprawiało mi ogromną przyjemność, zarówno gdy mówił o winie, jak o Arnobiuszu, o świętym Augustynie, o kamieniu filozoficznym, o Sartrze.

Kolacja następnego wieczora była lepsza, to znaczy – względnie lepsza. Kucharz i jego pomocnicy przyjechali późnym popołudniem

i mogli tylko coś niecoś ulepszyć, doprawić. Wystarczyło to, by nas wprawić w dobry humor, jak stwierdził don Gaetano: tu zganił owych głupców, którzy udają, że nie dbają o to, co jedzą, albo są rzeczywiście tak prostacy z natury czy tak nieobcyi, że naprawdę o to nie dbają. Mówił o kuchni francuskiej: jedynej, która się może poszczycić – i zasłużeń – bohaterem tej miary co Vatel, godny, aby go porównać do Katona Młodszeo Utyceńskiego, jeden popełnił samobójstwo z powodu uchodzącej wolności, drugi – z powodu ryby, która nie nadchodziła. Ich czyny w obliczu Boga miały tę samą wartość, jako wywołane tym samym porywem: poczuciem własnej godności.

– Ale – sprzeciwiłem się – to poczucie własnej godności bywa różne: nie przystoi, i to nawet Bogu, stawiać na jednej płaszczyźnie ryby, która ponadto była jednym z wielu dań już w wieku czternastym, i wolności.

– Dlaczego nie? Nie mieszając w to Boga, jako że to, co wiemy o sądzie boskim, bierze się z wyboru dokonywanego przez nas dla osiągnięcia zbawienia, a myślę, że więcej się liczy nasza wola zbawienia niż wybór, a więc nie mieszając w to Boga i zakładając, że poczucie godności jest wyborem słusznym, lepszym przykładem będzie tu Vatel niż Katon Utyceński: ryba miała nadejść i rzeczywiście nadeszła w godzinę po samobójstwie Vately... Ale wolność?

Rozgorzała dyskusja, która stała się chaotyczna i zawiła, gdy udział w niej wzięli czterej pozostali księża. Don Gaetano i ja nie staraliśmy się ich mitygować: każdy obstawał przy swoim, nie zwracając najmniejszej uwagi na racje innych; i gdy po obiedzie opuściliśmy ich, już na dobre skakali sobie do oczu.

Wychodząc z refektarza don Gaetano zapytał, czy istotnie jestem zdecydowany być obecnym na rekolekcjach. Odpowiedziałem, że tak, jestem zdecydowany. Wydało mi się, że jest z tego przekornie rad, mimo że machając w powietrzu dużą białą dłonią, pogroził mi żartobliwie; jak

gdyby chciał powiedzieć: „Bezecny ateusz, który chcesz zaskoczyć zacnego wyznawcę wiary w; jego gnieździe, w jego fortecy: odpowiesz za to”. I tak, pozostawiając mi w oczach tę swoją dłoń, zniknęła. (Tu muszę wyjaśnić, dlaczego mówiąc o don Gaetanie, że odchodzi, że odszedł, używam czasowników: zniknąć, przepaść; i nadal ich będę używał, a może nawet innych, jak: rozwiać się, rozplynać. I muszę powrócić do wspomnienia jednej z moich dziecinnych zabaw: rysowało się na kartce papieru sylwetkę, całą czarną, z białym punkcikiem pośrodku; wbijało się wzrok w ten biały punkcik, licząc do sześćdziesięciu; potem zamykało się oczy albo patrzyło w niebo: i w dalszym ciągu widziało się sylwetkę, ale białą, ale przezrystą. Z don Gaetanem działo się coś podobnego: gdy już odszedł, jego obraz trwał w zamkniętych oczach czy w przestrzeni; tak więc nigdy nie można było uchwycić dokładnej, rzeczywistej chwili, w której się oddalał. Poza tym wiązało się to z owym jak gdyby rozdwojeniem, które próbowałem opisać. Tak czy inaczej, w jego obecności powstawała jakaś sfera hipnozy. Trudno jednak oddać pewne wrażenia).

Wskutek niecierpliwości, która zakłóciła także mój sen, wstałem o świcie tego wielkiego dnia. Nie chciałem przeoczyć chwili przyjazdu tych, którzy mieli poświęcić cały tydzień owej gimnastyce ducha, aliści bez umartwiania ciała, ponieważ przyjechał już słynny kucharz. Zerwałem się o wiele, za wcześniej; alem tego nie pożałowałem. Nie oglądałem świtu tak z okna, na ziemi, co najmniej od dwudziestu lat. Widziałem niejednego świt, podróżując samolotem: ale to nie to samo. Stałem dobrą chwilę przy oknie, rozkoszując się tą całkowitą i doskonałą harmonią między naturą i moimi zmysłami. I przyszła mi ochota malować. Lecz stłumiłem ją natychmiast w obawie, aby odtwarzając nie zachwiać równowagi, nie zepsuć. Była to bowiem chęć całkiem banalna, w pewnym sensie akademicka; słowem, coś w rodzaju komunau. Ten, kto nie umie malować – albo umie malować nie będąc prawdziwym

malarzem i mówi na widok jakiegoś cudu natury, krajobrazu, szczególnej kompozycji elementów w świetle i przestrzeni: „Aż się prosi, żeby to malować” – wypowiada najbanalniejszą i akademicką pochwałę natury, a jednocześnie degraduje malarstwo, które, przynajmniej dla mnie, skłania się ku temu, co „się nie prosi” o malowanie. Była to zresztą nieszczera chęć, o czym wiedziałem już w momencie, gdy się we mnie obudziła. A wiedziałem dlatego, że miałem zimne nogi; od kiedy zaś przeczytałem u Woltera, że aby dobrze malować, trzeba mieć ciepłe nogi (choć pisał to w odniesieniu do malarzy angielskich i co, powiedziałbym, słuszne jest także co do Bacona i Sutherlanda), brałem to pod uwagę i sprawdziłem na sobie. Obrazy, które malowałem z zimnymi nogami, należą do moich najgorszych płócien – co bynajmniej nie przeszkadzało krytykom i kolekcjonerom cenić ich najwyżej. Malowałem ich mnóstwo, z zimnymi nogami, aby móc malować z prawdziwej ochoty, kiedy czułem się wolny, już nie związany z zawodem, z rynkiem, z wystawami, z pieniędzmi, ze sławą; jeżeli nawet, niestety, źródłem tej mojej wolności był fakt, że miałem już wszystko: wielką sławę, dużo pieniędzy, wystawy na całym świecie, wciąż rozszerzający się rynek zbytu, znajomość rzemiosła, która pozwalała mi machnąć dwa, a niekiedy i trzy obrazy dziennie.

Z zimnymi nogami, rzecz jasna. Te, malowane z ciepłymi nogami, teraz już nieliczne, trzymałem dla siebie: czyli dla późniejszej i zasłużonej sławy. Ale, szczerze mówiąc, pośmiertna sława mało mnie obchodzi.

Tak czy owak, czułem się wolny od wszystkiego. Również od malarstwa. A raczej (skoro wszcząłem ten dyskurs, winienem gruntownie się wytłumaczyć) ten mój rodzaj ucieczki, to moje złudzenie wolności nie miały być niczym innym jak pauzą, momentem retardacyjnym przed powrotem do malarstwa z ciepłymi nogami, zgodnie z mądrą radą Woltera. Niemożliwy powrót; i powtarzałem sobie w chwilach jasności umysłu: będę nadal dużo malował z zimnymi nogami, a mało, bardzo

mało z ciepłymi. Cóż kiedy wszystko w nas jest zawsze piekielnie skomplikowane. I tym bardziej się oszukujemy czy próbujemy oszukiwać, im bliższa i nieuchronniejsza jest chwila utraty złudzeń.

Stałem więc przy oknie, rozkoszując się ową całkowitą i doskonałą harmonią, i tak dalej... Potem zanurzyłem się w dobrze ciepłej wodzie, by rozgrzać nogi i nie mieć sobie nic do zarzucenia. Istotnie kąpiel mnie pokrzepiła. Ogołiłem się, uczesałem, ubrałem. I zszedłem na dół.

W hallu panował wielki ruch. Przybyło służby hotelowej. A także księży; naliczyłem siedmiu nowych, którzy kręcili się tu i ówdzie, bardzo zaaferowani. Za dużo rwetesu; wyszedłem na dziedziniec, gdzie rozstawiono mnóstwo leżaków; wszystkie puste, ale zwiotczałe i wygniecione przez ciała, które na nich spoczywały, i usytuowane tak, jak gdyby samorzutnie wyłamały się z rzędów widowni i ustawiły się w krąg, tworząc – także z powodu barwy drzewa i grubego płótna w podłużne czerwono-niebieskie pasy – jakiś metafizyczny obraz. Pospieszyłem uzupełnić ten obraz: komuś, kto wyrżałby z góry przez okno hotelu, wydałbym się porzuconym na leżaku manekinem (przeżywam cudze obrazy bardziej niż własne, szczególnie tych malarzy, których twórczość jest najmniej zbliżona do mojej).

Dziedziniec był, jak bodaj już wspomniałem, bardzo przestronny. Poza częścią zajęta przez leżaki: pozostawało jeszcze dużo miejsca na manewry i parkowanie oczekiwanej chmary samochodów. Ale zaczęły nadjeżdżać dopiero o dziewiątej.

Pierwsze cztery przyjechały niemal jednocześnie. Gdy pierwszy stanął przed wejściem do hotelu, don Gaetano zmaterializował się u progu. Może zresztą był tam już przedtem. Z samochodu wysiadł biskup. I trzech następnych biskupów wysiadło z kolejno podjeżdżających samochodów. Kiedy tak stali wszyscy razem, zauważyłem, że jeden ma nie fioletową, ale czerwoną piuskę. Kardynał. Muszę jednak wyznać, że owo spostrzeżenie

nie obudziło we mnie należytego szacunku, miałem bowiem w pamięci wiersz Bellego: „...*ściagnął czarną i nałożył czerwoną*” – w sytuacji gdy patrol żandarmów wkracza do domu publicznego i dowódca, starszy sierżant, widzi zbliżającego się doń „nader dostojnego” księdza, który uroczyście zdejmując czarną piuskę i wkładając czerwoną, ku wielkiej kontuzji sierżanta, przeobraża się w kardynała.

Księżę Kościoła: stąd więc ta dziesiątka motocykli i tyluż dosiadających je policjantów, którzy jedną nogą oparci o ziemię wszczyli taki hałas na dziedzińcu, żem nie mógł dosłyszeć, o czym mówili kardynał, biskupi i don Gaetano. Ale wydaje mi się, że ich rozmowa była wymianą uprzejmości i dowcipnych powiedzonek. Don Gaetano jak zwykle w sutannie, tamci czterej w ciemnopopielatych spodniach i marynarkach, z pectoralami tego samego koloru, na których odcinały się srebrne krzyże, w twardych i błyszczących kołnierzykach. Żaden z nich nie robił wrażenia wybitnej indywidualności. Sądząc po twarzach, dwóch wziąłbym za wieśniaków, dwóch za biurokratów. Kardynał należał do biurokratów: tych z regulaminem w rękę, niestrudzenie pedantycznych. Gdyby zdjęli piuski i przyszło zgadywać, który z nich pięciu jest kardynałem, wybór padłby na don Gaetana; pozostałych wziąłbym za proboszczów, dwóch z miasta, dwóch ze wsi. Don Gaetano przy całym synowskim uszanowaniu, pogodzie ducha, a nawet radości, zachowywał dystans, chłód, surowość, które napełniały mnie podziwem. Co tam kardynałem – mógłby być nawet papieżem.

Motocykliści odjechali z wielkim hukiem. W nagłej ciszy usłyszałem kardynała wychwalającego piękno i majestat hotelu. Don Gaetano, jak mi się wydało, spojrział w moją stronę przymrużając oko z ironicznym politowaniem: nad tym nieszczęsnym kardynałem, który powinien był wiedzieć, a nie wiedział, co jest naprawdę piękne. Potem rzekł: „Eminencjo” – i pociągnął za sobą do hotelu to małe gronko

hierarchii.

Pochłonięty wsłuchiwaniami się w rozmowę kardynała i biskupów z don Gaetanem, nie zauważyłem, kiedy zajechały inne samochody. Prawie wszystkie z szoferami w liberii, a więc służbowe, z przedsiębiorstw państwowych i ministerstw. Ci, którzy z nich wysiadali, musieli to być ministrowie czy podsekretarze stanu, naczelni dyrektorzy, prezesi, wiceprezesi. W niektórych siedziała za kierownicą kobieta: nietrudno mi było się domyślić, że to żony odwożące mężów, ale po to, by zabrać samochód i mieć go do własnej dyspozycji. Jedna z nich pobudziła moją fantazję: nie była klasycznie piękna (nigdy nie gustowałem w klasycznie pięknych kobietach, chociaż, co prawda, z taką się ożeniłem, aby ją natychmiast porzucić), ale wysoka i zgrabna, o inteligentnym, ironicznym wyrazie twarzy; z czymś ledwie powstrzymywanym, niecierpliwym w ruchach, w uśmiechu, w blasku oczu; jak gdyby zaraz miała wydać okrzyk wyzwolenia; gdzieś biec, dokądś wzlecieć, czymś się uradować. Gdy mąż otwierał bagażnik i wyjmował walizki, ona nie przestawała mówić; w brzmieniu jej głosu wyczułem jak gdyby zachętę, jak gdyby jej rady dla męża – aby się nie przeziębził, aby jadł z umiarem, aby nie zapominał o pigułkach podczas posiłków, aby wkładał wieczorem sweter – miały mi oznajmić (bo zauważyła mnie i może nawet poznała); „Zostawiam tego kretyna, to bydlę, tego drania; i przez tydzień będę wolna, wolna...” Kiedy ja rozszyfrowywałem to jej wezwanie, zerkała na mnie ukradkiem, uszczęśliwiona i rozmarzona, prowokująca, gotowa je potwierdzić. Korciło mnie przez chwilę, by pojechać za nią lub po prostu prosić ją o podwiezienie do miasta: w obecności męża, któremu pewien niepokój o żonę, o ile był zdolny do takiego niepokoju, mógł wyjść na korzyść podczas czekających go ćwiczeń duchowych. Ale stałem nieruchomo, obserwując jej wyjazd: przelotny pocałunek dla męża, ostatnie spojrzenie dla mnie, nogi odsłonięte po uda, gdy zamykała drzwiczki samochodu.

A zresztą może ktoś już na nią czekał: „Odwiozłam tego bydlaka do Pustelni Zafera na rekolekcje; nareszcie, cały tydzień dla nas”... Przez chwilę jednak chciałem mieć złudzenie, że dla mnie puściłaby kantem mężczyznę, który jej oczekiwał.

Dziedziniec był już pełen samochodów i piętrzyły się na nim stopy walizek i toreb podróжных. Służący uwijali się jak mogli, zdyszani i spoceni; lecz nie potrafili najwidoczniej rozpoznać rangi przybyłych już i wciąż przybywających gości, bo rozlegały się nawoływania i protesty, których ton mówił najwyraźniej: „Bagaż, który bierzesz przed moim, należy do mojego wiceprezesa, a prezesem ja jestem i mam pierwszeństwo, chociaż przyjechałem po nim” – czy coś w tym rodzaju. Ale jeśli pominąć te pretensje, wyładowywane na tragarzach, panowała bezceremonialna i rubaszna atmosfera zażyłości: powitalne okrzyki, uściski, kuksańce, żartobliwe epitety. Dopiero gdy przybył minister, koleżeński nastrój rozwiął się natychmiast, ucichło, wsysający prąd pociągnął, jak magnes żelazne opiłki, całą kompanię w kierunku samochodu, z którego wysiadał. Taki sam efekt wywołało przybycie kilku innych panów, których nie rozpoznałem. A gdy pojawił się don Gaetano, ów prąd, porywając też ministra oraz innych nie znanych mi dygnitarzy, skierował się ze wszystkich stron ku niemu: otoczono go, ale w odległości co najmniej metra, półkolem. Don Gaetano rozpoznał wszystkich, każdemu powiedział coś, co dotyczyło właśnie jego stanowiska, rodziny czy stanu zdrowia; wszyscy czuli się więc uszczęśliwieni i wyróżnieni tym dowodem pamięci. Ale jak zawsze we wszystkim, co mówił lub robił don Gaetano, krył się jakiś odcień czy nutka drwiny, czego oczywiście nikt z cisnącej się wokół niego zgrai nie był zdolny zauważyć. Ja zauważyłem je i byłem nimi urzeczony; wydawało mi się bowiem, że owa wysublimowana drwina i owo subtelne szyderstwo były dowodem porozumienia, pewnej solidarności, jaka się między nim a mną wytworzyła; i wydawało mi się,

że on, starszy, mądrzejszy, ascetyczny, wyobraża mnie takiego, jakim być chciałem.

Nagle dziedziniec opustoszał, stał się bezludny i cichy jak z rana. Albo to ja nagle zdałem sobie z tego sprawę.

Wróciłem do hotelu. Księży-portierów było teraz dwóch; ten, który mnie przyjmował, i jeden z czterech, którzy siedzieli ze mną przy stole w jadalni.

– A co się teraz dzieje? – zapytałem.

– Wszyscy rozeszli się do swoich pokoi; za pół godziny zejdą na mszę. Odprawi ją kardynał. Potem będzie mówił don Gaetano.

– W kaplicy, tu na dole?

– Tak, w kaplicy, tu na dole.

– Czy mógłbym być na mszy?

– Myślę, że tak: don Gaetano nie ma nic przeciwko temu, żeby był pan obecny na rekolekcjach, przynajmniej tak zrozumiałem; a ponieważ rekolekcje rozpoczynają się tą mszą...

Podziękowałem i odszedłem. Byłem niezdecydowany. Nie dlatego, że wydawało mi się to niedelikatnością, bo przecież zostałem tu po to, by ją dopełnić, ale z obawy, że się będę nudził, a poczucie delikatności nie pozwoli mi wyjść, nim się wszystko skończy.

Poszedłem jednak. I nudziłem się umiarkowanie. Nie byłem na mszy co najmniej od ćwierć wieku (użycie określenia ćwierć wieku zamiast dwudziestu pięciu lat trzeba położyć na karb mojego kokietowania starością). A ponieważ po raz pierwszy słuchałem mszy po włosku, pogрузyłem się w rozmyślaniach o Kościele, jego historii, jego losach. Czyli o jego minionym splendorze, jego mizernej terażniejszości, jego nieuniknionym końcu. Biorąc rzecz od strony estetyki, byłem wierzący: było jednak w tym, o czym nieskładnie myślałem, coś bardziej dalekiego i niejasnego; coś niebezpieczniejszego. Podłoże niepokoju i troski: jak

u kogoś, kto wyjeżdża i zaraz po wyjeździe czuje, że czegoś zapomniał czy coś zgubił, a nie wie dokładnie co. Aby jednak oddać w pełni, a nawet choćby przesadnie ów stan ducha: czułem się trochę oszukany i zagubiony. Ta nieruchoma opoka, z którą ja, wróg, ścierałem się przez lata; ta opoka przesądów i lęków, nietolerancji, łaciny, krucha jest oto i marna jak najmniejsza grudka ziemi. Pamiętałem jeszcze (jako dziesięcioletni chłopak służyłem do mszy) pewne fragmenty mszy po łacinie i porównywałem, jak podupadły w tekście włoskim: właśnie podupadły, tak jak się mówi o człowieku, że podupadł. „Daj nam, Boże, przez to połączenie wody i wina uczestniczyć w bóstwie Tego, który raczył stać się uczestnikiem naszego człowieczeństwa”. Co za niewybredne sformułowanie, przywodzące na myśl owe niewybredne istoty, które przy stole rozcieńczają wodą wino. *Deus, qui humanae substantiae dignitatem mirabiliter condidisti, et mirabilius reformasti: da nobis per huius aquae et vini mysterium, eius divinitatis esse consortes, qui humanitatis nostrae fieri dignatus est particeps, Iesus Christus Filius tuus Dominus noster: Qui tecum vivit et regnat in unitate Spiritus Sancti Deus: per omnia saecula saeculorum.* – gdzie podział się teraz sens tych słów i, pominiwszy sens, gdzie była tajemnica?

Ale ty, powiadałem sobie, właśnie tego chciałem: żeby tajemnica rozwiła się, żeby z tej wspaniałej scenerii, z tego majestatycznego złudzenia pozostały jedynie nagie i zgrzebne płachty, jakie się widzi w teatrze w „*Sześciu postaciach*” Pirandella... Lecz owa demystyfikacja teatru u Pirandella jest formą, która na nowo odkrywa go i utwierdza: a ty chciałeś, aby Kościół, odrzucając mistyfikację i omamianie, na nowo objawił się i utwierdził?... Ależ nie, chciałem, aby się skończył. I jest już u schyłku... A jednak... Prawda jest taka, że wiele rzeczy w nas, które uważamy za umarłe, znajduje się jakby w dolinie snu, nie uroczej, nie ariostycznej. I rozum musi wciąż czuwać nad ich snem. Lub, na próbę,

czasami je budzić i pozwolić im wyjść z owej doliny: po to jednak, aby powróciły tam zdruzgotane i bezsilne... Ale jeżeli próba się nie udaje? W tym rzecz. Lecz ja, tak naprawdę, nigdy tego nie doświadczyłem: wszystko bowiem we mnie i wokół mnie było już od lat fikcją. Żyłem oszukując się i dając się oszukiwać. Tylko te rzeczy, za które się płaci, są prawdziwe, za które się płaci doświadczeniem i cierpieniem. A ja płaciłem już tylko za pośrednictwem banków. Nie było uczucia, przekonania, idei, dla których nie żądano by ode mnie jedynie i wyłącznie podpisu na czeku. Albo na obrazie: ponieważ obraz nabiera wartości dopiero dzięki podpisom, tak samo jak czek. (Prędzej czy później zrobię wystawę płócien z samym tylko moim podpisem, na sprzedaż po cenach raczej wygórowanych; i podsunę sprzedawcy taki oto slogan: „Zróbcie je sami, wielki malarz już je wam podpisał”). Także gdy chodziło o cudze cierpienie (choroby, nędra, nieszczęścia spotykające moich znajomych albo nieznanym, którzy zwracali się do mnie o pomoc; pożoga wojenna czy tyrania wyniszczająca całe narody), wystarczał podpis, a widma znikwały i uwalniałem się od nich. I tak uwolniłem się od tylu rzeczy; od nazbyt wielu, bym nie czuł się w tej chwili daleki od prawdy, od życia... Zaczęła mnie wtedy nurtować myśl, po trosze przykra, po trosze szydercza, że jeśli nie zaniecham tych medytacji i samooskarżania, w końcu naprawdę odprawię rekolekcje: i w dodatku sam jeden, ponieważ ci, którzy tu na rekolekcje przyjechali, bynajmniej nie zdawali się – i nie byli – przygotowani do nich. Podczas mszy sąsiedzi wciąż szeptali sobie coś do ucha, a stojącym dalej przesyłali powitalne gesty i uśmiechy. Czuli się jak na wakacjach: ale na wakacjach, które pozwalają na nowo nawiązać lukratywne znajomości, knuć spiski dla zdobycia władzy i bogactwa, rozbijając koterie i odpłacać zdradą za zdradę.

„Msza jest skończona; idźcie w pokój”. Nie mieli się jednak rozejść: toteż gwar i zamęt, jaki powstał od razu, zgasł, gdy za balustradą

prezbiterium pojawił się don Gaetano. Ci, którzy przedwcześnie ruszyli ku wyjściu, byli najwyraźniej skonfundowani: i na ich cichą skruchę spadł grad upomnień don Gaetana. Mówił rozciągając sylaby, jak człowiek z trudem powstrzymujący wciąż nękające go ziewanie; i nie zmieniając tonu przeszedł od nagan do nauczania: o znaczeniu i konieczności tych rekolekcji, tego rachunku sumienia dla wszystkich i dla każdego z osobna, za rok miniony i za przyszły. A jako że ci wszyscy, którzy się w tym miejscu zebrali, by ćwiczyć ducha i odrodzić jego siły, reprezentowali świat chrześcijański i katolicki w zarządzaniu sprawami publicznymi, a w każdym razie mającymi na celu dobro publiczne, jest rzeczą nieodzowną, aby w tym tygodniu zadali sobie pytanie, zasadnicze, bezkompromisowe: czy oddaliśmy Bogu to, co boskie?

Tu stojący przede mną osobnik szepnął sąsiadowi do ucha: „Na pewno chce wystawić nowy hotel”. Lecz natychmiast bojaźliwie rozejrzał się dokoła i podejrzewając, że słyszałem, przesłał mi porozumiewawczy uśmiech w przekonaniu, że jestem „swój człowiek”, a więc nie mogę nie wiedzieć, co ten święty mąż don Gaetano, bez wątplenia święty, lecz bardzo wymagający, rozumie przez oddawanie Bogu tego, co boskie. Don Gaetano zresztą nie roztrząsał tej kwestii (pomijając całkowicie, ma się rozumieć, oddawanie, co cesarskie, cesarzowi); pozostawił ów temat w zawieszeniu, aby odbił się echem w sumieniach słuchaczy i znalazł wyraz, zależnie od zasięgu ich władzy i funkcji, w konkretnych kształtach czy liczbach.

– Teraz możecie iść – rzekł na zakończenie don Gaetano, kładąc na pierwsze słowo akcent naganą, od której zaczął.

Wszyscy, układnie tym razem, wstali i skierowali się do wyjścia. Kardynał i trzech biskupi już znikli, wyszli może przez zakrystię. W kaplicy, która się wydawała większa, pozostaliśmy, don Gaetano i ja. Don Gaetano, jak zazwyczaj, zdawał się mnie nie widzieć? lecz po chwili

zaczął mówić do mnie. Domyślił się, dlaczego zostałem.

– Nie obejrzał pan jeszcze kaplicy, ongiś był to kościółek pustelni... Jak pan widzi, ocalał: ostatnie akty przemocy sięgają siedemnastego wieku... Pustelnia Zafera! Cała historia wymyślona po prostu w drugiej połowie ubiegłego wieku przez lokalnego erudyte... Istniała tradycja, legenda o pustelniku ze smagłą twarzą, z siwą brodą; aptekarz z pobliskiego miasteczka w dolinie nadał mu imię Zafer... Myślę, że koncepcja w głowie aptekarza powstała w następujący sposób: wiedział, że w okolicy jest miejscowość o nazwie Zaffu i że akurat Michele Amari ogłosił swój przekład dzieła Ibn Zafera „*Solwan el Mota*”. I może istotnie tekst mu się wydał chrześcijański: zdarza się, że wrywając cytaty z większej całości, można się w niechrześcijańskim tekście doszukać myśli chrześcijańskiej... Zaffu, Zafer: o wiele ładniej brzmi Zafer; przypomina szafir, szafran... A poza tym był jeszcze ten obraz. – Wskazał mi malowidło, którego do tej pory nie zauważyłem: brodaty i ciemnoskóry święty, otwarta przed nim księga; i diabeł o wyglądzie ni to cklwym, ni to szyderym, z rogami czerwonawymi jak z odartego ze skóry mięsa. Najbardziej jednak uderzało w postaci diabła to, że miał okulary: binokle w czarnej oprawce. A przy tym wrażenie, że już widziałem coś podobnego, tylko nie przypominam sobie, gdzie i kiedy, przydawało diabłu tajemniczości i grozy: jak gdybym go widział we śnie czy wśród zjaw nęających mnie w dzieciństwie. – Na podstawie tego obrazu – ciągnął dalej don Gaetano – aptekarz stworzył legendę: Zafer, święty, już niedowidzi; diabeł przynosi mu w darze szkła. Ale te szkła mają, rozumie się, diabelską właściwość: jeżeli święty je przyjmie, będzie przez nie zawsze czytał Koran zamiast Ewangelii czy świętego Anzelma, czy świętego Augustyna. „*Biada mi, bo czysty kształt twoich słów gmatwa się i zatracą w pokrętnej cyrylicy...*” – Ten cytat zdumiał mnie: don Gaetano znał twórczość tego, którego uważam za ostatniego włoskiego poeę; i cytował jego wiersze z pamięci. – W tym

wypadku w kufickim, czy jak się nazywa pismo Koranu... Nie trzeba dodawać, że Zafer podejrzewa oszustwo i nie przyjmuje daru: co więcej, nie zważa na obecność diabła. Ale ten obraz, jak panu wiadomo, jest tylko kopią, raczej nieudolną, obrazu Manettiego, który znajduje się w Sienie, w kościele Świętego Augustyna. W każdym razie to ciekawy obraz... Pomijając mrzonki aptekarza, powiedziałbym również: niepokojący... Diabeł w okularach: to, co chciał powiedzieć Manetti, jest wystarczająco jasne, odnośnie do jego czasów; ale dziś...

– Jak wtedy; każdy instrument, który pozwala dobrze widzieć, jest dziełem i darem diabła. Mówię o was, o Kościele.

– Interpretacja laicka, dawnych laików: tych ze stowarzyszeń pod wezwaniem Giordana Bruna i Francesca Ferrera... Ja natomiast powiedziałbym: każda poprawka natury może być jedynie dziełem i darem diabła.

– Interpretacja sadystyczna.

– Ale Sade był chrześcijaninem – rzekł don Gaetano przerywając kontemplację obrazu i spoglądając na mnie ze zdumieniem, zdziwiony, że o tym nie wiedziałem, że nikt do tej pory mi tego nie powiedział.

– Skoro ksiądz tak twierdzi... – Ze zbyt jawną ironią.

– To nie jest moja opinia – odparł szorstko don Gaetano. Pokręcił się chwilę po kaplicy, jak gdyby mnie tam nie było; po czym wrócił do obrazu. Byłem trochę zły na siebie o ten ironiczny banał, „Skoro ksiądz tak twierdzi”, i głowiłem się, jakimi by tu słowami wyrazić bardziej subtelną ironię; lecz don Gaetano wszedł na stopnie ołtarza i wyjął z wewnętrznej kieszeni na piersi okulary, włożył je i wspiąwszy się na palce badał pieczołowicie prawy róg obrazu. Gdy się odwrócił, by mi oznajmić: – Jest podpis, proszę zobaczyć – na chwilę osłupiałem ze zdumienia: jego szkła były wierną kopią okularów diabła. Nie dostrzegłem mojego zdumienia, które przecież musiało być widoczne, albo udawał, że nie

dostrzega ciesząc się nim w cichości ducha. O ile rzeczywiście triumfował, że udało mu się mnie zaszokować, ja ze swej strony odparowałem cios natychmiast, przybierając taką minę, jak gdybym chciał powiedzieć: „Ty stary komediancie, zachowaj dla twojej trzody głupców ten koncept z okularami”. Lecz on jak gdyby nie zauważył także mojego przejścia od zdumienia do pogardy. Zbliżyłem się do obrazu, by przeczytać podpis. Z trudem odcyfrowałem: b, u, t, a, s, u, o, c, o j Butasuoco.

– Buttafuoco – poprawił don Gaetano – Pan nie dojrzał drugiego t i odczytał f jako s... Nicolo Buttafuoco, miejscowy malarz. I to według innego erudyty, sprzed dwóch stuleci i o nie mniej bujnej wyobraźni niż aptekarz. Diabeł to autoportret malarza, z rogami włącznie... Pewnego dnia malował Madonnę, a ponieważ wziął sobie jako modelkę ładacnicę, powiedział: „Prędzej mi rogi wyrosną, niż ta Madonna będzie czyniła cuda”; i oto wyrosły mu rogi, a był to pierwszy z licznych cudów, którymi zasłynęła później owa Madonna... W pełni zasłużył na rogi za ten swój bestialski pędzel.

Zdjął okulary i schował je na piersi. I z pozorną obojętnością kogoś, kto już wymierzył swój cios, z miną kota, który połknął kanarka, mówił dalej:

– Z nazwiskiem Buttafuoco kojarzy się zawsze i w rzeczywistości, i w fantazji coś, w czym czai się zło albo co najmniej szalbierstwo: ten malarz, który robi sobie autoportret przedstawiając się w postaci diabła? Buttafuoco, Podpalacz Boccaccia z noweli „*Andreuccio z Perugii*”... Rozkoszne te badania Crocego nad nowelą Boccaccia: znaleźć Buttafuoca w rejestrach andegawęńskich, wśród sycylijskich uchodźców... – i gawędził dalej, ująwszy mnie pod ramię i idąc w stronę refektarza.

Chciał mnie mieć nadal przy swoim stole. Miejsca czterech księży zajęli kardynał i trzech biskupi; dodano też dwa nakrycia dla ministra i jednego z przemysłowców. Czuję się bardzo skrępowany. I nie dlatego,

że nie przywykłem jadać z ministrami, przemysłowcami i dostojnikami kościelnymi (przeciwnie, należało do rzadkości, bym nie trafił na któregoś z nich, a nawet na cały ich zestaw, przy stole); ale co innego w takim miejscu i w takiej chwili: w hotelu prowadzonym przez księży, w czasie zjazdu katolików na rekolekcje. Sam fakt, że się tam znajduję, zadziwił mnie i zbijał z tropu, a co dopiero innych, gdy don Gaetano dokonał prezentacji (nienagannie przedstawił mnie czterem dostojnikom kościelnym, a mnie przedstawił ministra i przemysłowca). Być może w pierwszej chwili zaświtała im myśl, że się nawróciłem; lecz gdy kardynał podsunął mi dłoń do pocałunku, ja zaś najzwyczajniej ją uściśnąłem, zdetonowani wbili oczy, ale w don Gaetana. Na nim skupiły się ich spojrzenia pytające i zarazem niespokojne: i don Gaetano wyjaśnił, że znalazłem się tu przypadkiem, z ciekawości, jakby dziwnym zrzędzeniem losu.

A ponieważ wszystko, co robił don Gaetano, zawsze musiało wyjść na dobre, nabrali otuchy. I wszyscy natychmiast poczuli się w obowiązku pochwalić moje obrazy: kardynał i biskupi te, które widzieli na wystawach albo w prywatnych zbiorach, minister i przemysłowiec te z własnych zbiorów (wiedziałem, że mieli ich sporo, także tych malowanych z ciepłymi nogami). Tak więc zaczęła się rozmowa o malarstwie: i pomimo komplementów, jakimi mnie obsypano, od razu stało się jasne, że dla czterech prałatów malarstwo pogrzebane było już prawie od wieku, jako że ostatni uprawiał je Nicolo Barabino (to nazwisko przywiodło mi na myśl obraz „*Madonna z Oliwką*”, którego reprodukcję, oleodruk, matka miała nad łóżkiem i który ja, od chwili gdy dostałem ołówek do ręki, kopiowałem przez całe lata: zawsze genialnie, zdaniem matki; nie najgorzej pod koniec, moim zdaniem); i że dla ministra i przemysłowca malarstwo w ogóle nie istniało, dopóki w pewnej fazie ich życia i kariery nie zaczęli go traktować jako coś w rodzaju lokaty i gry na giełdzie. I nie zgadzali

się z prałatami: ponieważ w antykwariatach wyceny małych malarzy były za niskie, natomiast wielkich – astronomiczne, przekraczające rzeczywistość ich wartość; za to realne i o zwykłej tendencji były wyceny malarzy współczesnych, zarówno wielkich, jak małych. Tylko że wśród współczesnych nie ma wielkich, zrobił zastrzeżenie kardynał. Zaraz jednak, bez przekonania, dorzucił: „Z wyjątkiem, oczywiście, tu obecnego naszego przyjaciela”. Ja bez przekonania zacząłem się certować i wymieniłem Guttusa. Kardynał odparł, że nie tędy droga do wielkości. Tymczasem don Gaetano znalazł słowa najwyższej pochwały dla „*Ukrzyżowania*”, pędzla Guttusa, które przed trzydziestu laty wywołało skandal, a które teraz, miał nadzieję, zostanie zakupione dla muzeów watykańskich. Jeden z biskupów zapytał, dlaczego wybuchł skandal. „Dlatego że wszystkie postacie są tam nagie” – rzekł don Gaetano tonem drwiącego zdziwienia w odniesieniu do tych, którzy przed trzydziestu laty gorszyli się na widok nagich ciał w scenie „*Ukrzyżowania*”. Prałaci zgodzili się, że odarcie z szat Chrystusa, Madonny i bolejących niewiast było rzeczą niewinną, skoro niewinne były intencje oraz ich owoc; pomijając już fakt, że gorsze bluźnierstwa padały dzisiaj przeciwko tej boskiej tragedii. Rozmowa zesłała na klasyfikację bluźnierstw dnia dzisiejszego, gdy jeden z biskupów, powracając do Guttusa, wysunął zastrzeżenie, że jest on komunistą.

– A kto nim nie jest? – powiedział don Gaetano. I parodiując: – Nie możemy bowiem nie mieć się za komunistów.

Trudno było zrozumieć, czy mówi serio, czy żartuje. Toteż wszyscy, nie wyłączając mnie, wyrazili chwiejną aprobatę. I zapadło milczenie.

Onieśmielony przerwałem je i zapytałem siłąc się na swobodny ton, niemal zatracający żartem i kpina, co sądzą o przywróceniu praw diabłu, dokonany przez Pawła VI.

– Och, diabeł – parsknął ironicznie kardynał. I jego ironia, jak wkrótce

się przekonałem, nie dotyczyła tylko mnie, który poruszyłem ten temat.

– Z całym szacunkiem, rozumie się, z całym synowskim przywiązaniem do Ojca świętego – rzekł minister – zadaję sobie pytanie, czy to był odpowiedni moment na wywlekanie sprawy diabła. – I spojrzął na mnie hardo, abym ocenił jego odwagę, gotowość stawienia czoła kardynałowi, trzem biskupom i księdzu uosabiającemu mądrość, doktrynę i potęgę.

– To jest odpowiedni moment – oświadczył don Gaetano kładąc nacisk na j e s t .

Tu, jak się domyślałem, nastąpiło chyba coś w rodzaju procesu osiadania w głowach czterech prałatów, dwóch wiernych. Tak jak się mówi, że świeżo zbudowany dom osiadł: i porysował się. W ich umysłach wystąpiła teraz niejedna rysa.

– Nie powiem, żeby to nie była właściwa chwila – rzekł kardynał. – Powiem, że sposób... Sam nie wiem... Może można było... – I umilkł, chytrze czekając, aby inni zagalopowali się na temat owego „można było” i aby wtedy w nich uderzyły doktrynerskie gromy don Gaetana. Lecz, nie mniej chytrze, trzej biskupi i dwaj wierni uchylili się od dyskusji teologicznej (sprawiając mi zawód) i zaczęli rozprawiać o przemówieniu Pawła VI na temat diabła jak o wydarzeniu czysto biurokratycznym, jak o ministerialnym okólniku, a o papieżu jak o ministrze, którego dekrety, mniej czy bardziej fortunate, mniej czy bardziej zawiłe, są przecież dziełem generalnych dyrektorów: a wśród nich są oddani ministrowi, ale niezdolni, zdolni, ale nie oddani, zdolni i oddani, niezdolni i nieoddani.

– A co ze zdrowiem, jak jest ze zdrowiem papieża? – zapytał przemysłowiec.

– Papież – powiedział don Gaetano – zawsze cieszą się dobrym zdrowiem. Można nawet powiedzieć, że nie tylko umierają w dobrym zdrowiu, ale wskutek dobrego zdrowia. Mówię oczywiście o zdrowiu psychicznym – zwrócił się do przemysłowca – bo do tego odnosiło się,

niewątpliwie bez złośliwej intencji, pańskie pytanie... Inne choroby, inne dolegliwości się nie liczą.

– Rzeczywiście – wtrąciłem – nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby któryś z papieży z powodu podeszłego wieku czy sklerozy zaczął mówić od rzeczy. Chciałem powiedzieć: nigdy się o tym nie słyszało.

– Nigdy się nie zdarzyło, właśnie – powiedział kardynał.

– Nigdy się nie słyszało – powtórzyłem twardo.

– Rzeczy, o których się nie słyszy, nie istnieją – rzekł don Gaetano.

– Ja powiedziałbym, że są rzeczy, o których można nie słyszeć, ale które istnieją.

– Tak, zgadzam się. Ale proszę wziąć pod uwagę, że mówimy o Kościele, o papieżu – powiedział don Gaetano. – O sile bez siły, władzy bez władzy, rzeczywistości bez rzeczywistości. To, co w sprawach świeckich stanowiłoby jedynie pozory, osłonę czy mistyfikację, w Kościele i w tych, którzy go reprezentują, staje się interpretacją lub widzialną manifestacją niewidzialnego. A więc wszystkim... Co nie przeszkadza, że możemy z lubością wyławiać starcze albo wrodzone dziwactwa jakiegoś papieża. Na przykład wczytując się w urzekające „*Commentarii*” Piusa II... Do dziwactw można zresztą zaliczyć już sam fakt pisania historii własnego życia: to słabostka bardziej pasująca do awanturnika niż do papieża...

Kardynał i biskupi zeszywnieli, zaprzeczyli, lecz okazało się, że nie czytali „*Commentarii*”, natomiast don Gaetano cytował z pamięci wszystkie urywki, które mu były dogodnie.

– Powiedziałbym – ciągnął dalej – że w pewnej chwili, w chwili gdy zaczął dyktować „*Commentarii*”, Pius II nie potrafił już powściągnąć radości z powodu swego wyniesienia, w czym jego duch odegrał większą rolę niż Duch Święty. Niepohamowana chęć ogłoszenia *urbi et orbi*: „Oglądajcie mnie tu, na Piotrowym tronie; to ja, stary Enea Silvio, ten od «*Historii dwojga kochanków*»; dopiąłem swego, pokazałem wam, co

potrafię”... Stendhalowski bohater *avant la lettre*... – I dla uspokojenia kardynała, który zaambarasowany próbował już przywołać go do porządku gniewnym pochrząkiwaniem: – Ale to był wielki papież, emincencjo, naprawdę wielki i święty. A poza tym umarł przeszło pięć wieków temu... I pomyślałem sobie: ponieważ umarł w nocy z 14 na 15 sierpnia 1464 roku, a zakończenie drugiego turnusu rekolekcji łączy się właśnie z tą datą, będę mówił do ich uczestników o Piusie II.

– Bardzo dobra myśl – rzekł kardynał; ale chłodno.

– Wyborna – wybełkotał mlaskając głośno minister? i wskazywał, potrząsając widelcem jak kropidłem, na swój talerz. Mówił o nadziewanej perliczce, która rzeczywiście była smaczna. Tu uświadamiam sobie, że pochłonięty odtwarzaniem rozmów zapomniałem opisać kipiącą życiem salę i przebieg refekcji (bo tak ogólnikowo nazywano tu posiłki podawane w południe i wieczorem). Menu wydrukowane na złożonym kartoniku, gdzie na pierwszej stronie miedzioryt przedstawiał kuszenie świętego przez diabła, było wyjątkowo bogate i materializowało się przed nami godne najwyższej pochwały, jak już wspomniałem, zarówno pod względem ilości, jak i jakości. Bo nagle wszystko się zmieniło w hotelu Zafera: refektarz był przepelniony, kucharz przechodził sam siebie, obsługa była szybka i staranna. Oprócz dziesięciu kelnerów uwijał się cały zastęp dziewcząt, które należały do bliżej mi nie znanego stowarzyszenia tercjarek, co bynajmniej nie pozbawiało ich swoistej zaczeźności i kokieterii. Inne szczegóły: na każdym stole wykwitał fantazyjnie ułożony bukiet; pięć kobiet znikło; błogosławieństwa przed posiłkami udzielał kardynał. Toteż mógłbym powiedzieć, że się czułem jak pies zabłąkany w kościele (ale wierny moim poglądom powiem: jak człowiek w psiarni), gdy wszyscy wstali, przeżegnali się, odmówili pacierz, i powtórnie się przeżegnali. Muszę jednak wyznaczyć, że nie zdobyłem się na to, co zamierzałem, to znaczy: nie ruszyć się z krzesła, gdy wszyscy wstali.

Wychodząc z refektarza zaczepiłem długowłosego księdza, tego, który czytał „Linusa”, żeby go zapytać, gdzie się podziało te pięć kobiet. – Jak to gdzie? Siedzą w pokojach – odpowiedział dość niejasno i prawie uciekł.

Po południu kardynał dokonał otwarcia rekolekcji. Mówił przeszło godzinę. Słuchałem go z roztargnieniem, ale mniejszym niż jego wierni. Bębnił Biblię, głównie Księgę Wyjścia, rozważając ruch teologiczny, chyba nowy, nadziei. Z tego, co udało mi się zrozumieć, ów ruch nazywał rozpacz nadzieją. Ani razu nie powołał się na Ewangelię; i tylko dwa, trzy razy padło z jego ust imię Chrystusa.

Gdy kardynał przewrócił ostatnią z kartek, które czytał, dyskretne westchnienie ulgi, jakie dobyło się ze wszystkich piersi, przypominało szum gazu uchodzącego z balonu. Po przemówieniu rozległy się oklaski. Kardynał wstrzymał je gestem dłoni? i gdy zaległa cisza, don Gaetano nakazał, by każdy poszedł do swego pokoju i oddał się godzinnej medytacji na temat przemówienia jego eminencji. Ale jego trzódka, jak zdążyłem zauważyć przy wyjściu, miała inne zamiary. Jedni mówili o książkach, które należy przeczytać, o sprawozdaniach, które należy sporządzić, o załatwianiu korespondencji, o spodziewanych telefonach. Gdy wychodziliśmy, jakiś osobnik koło mnie wskazał mi ascetycznie wyglądającego mężczyznę, niskiego, w grubych szklach, i powiedział:

– Ten wie, co robić w swoim pokoju.

Zapytałem, kto to taki i co ma do roboty w pokoju.

– Jak to, nie zna go pan? To... – wymienił znane mi nazwisko.

– No właśnie, tak mi się zdawało... A co ma do roboty?

Wywinął młynka rękami, co miało oznaczać: jakieś fantastyczne rzeczy, nie z tego świata, a na jego twarzy malowała się złośliwa uciecha, poządlliwość, zawiść. Potem, nagle nieufny, szybko odszedł.

Na dziedziniec zapędziło się tylko dwóch, pochłoniętych rozmową.

Mówili o budowie dróg, o koncesjach. Przyłapał ich na tym don Gaetano, który wyszedł zaraz po mnie. Wskazał ich palcem i powiedział energicznie:

– Panie mecenasie, panie pośle! Zdumiewacie mnie: wciąż jeszcze rozmawiacie o waszych i naszych niedolach! Idźcie do pokoju medytować nad słowami jego eminencji!

Odskoczyli od siebie jak dzieci przychwycone na lasowaniu w spizarni i jeden za drugim weszli do hotelu. Don Gaetano uśmiechnął się i zbliżył do mnie.

– Idę o zakład, że pan będzie więcej niż oni wszyscy rozmyślał nad przemówieniem jego eminencji.

– Ksiądz mnie przecenia – powiedziałem. – Rozmyślał, i owszem, ale nad aluzją, przypuszczam, że złośliwą, którą usłyszałem wychodząc z kaplicy. Pewien facet, wskazując na... – tu wymieniłem nazwisko wskazanego mi osobnika – powiedział: „Ten wie, co ma robić w pokoju”; czy coś w tym rodzaju. Zastanawiałem się, do czego się odnosi owa aluzja.

– Do kobiety, oczywiście.

– Do kobiety, którą sobie sprowadza do pokoju?

– Niezupełnie: kobieta ma swój pokój.

– Rozumiem: to jedna z pięciu.

– Jedna z pięciu, tak. I wszystkie one znajdują się tutaj z tej samej racji. Ale nie z racji tego samego mężczyzny, rozumie się.

– I ksiądz pozwala...?

– Mój przyjacielu: ja pozwalam na wszystko. Dopuszczam i pozwalam.

– Ale, mimo wszystko, rekolekcje...

– Odnoszę wrażenie, że pan w nie wierzy bardziej ode mnie; to znaczy, że bierze je pan dosłownie albo w sensie pierwotnym, w duchu Ignacego Loyoli... Myślę zresztą, że laicyzm, to, co każe wam uważać się za laików, jest po prostu odwrotną stroną przesadnego respektu dla Kościoła i dla nas, księży. Przypisujecie Kościołowi jakieś dążności

perfekcjonistyczne, ale sami stoicie wygodnie na zewnątrz. My nie możemy wam odpowiedzieć inaczej jak zapraszając was, abyście weszli do środka i spróbowali razem z nami być niedoskonałymi... W każdym razie chcę się przestawić na pański punkt widzenia, czyli pojmować ćwiczenia duchowe jako umartwienie ciała... A więc: tych pięciu nieszczęśników ma żony, dzieci, wyborców, wrogów, przyjaciół i nieprzyjaciół, którzy ich szantażują, przyjaciół i nieprzyjaciół, którzy kontrolują każdy ich krok i każdy telefon... Wzięli sobie kochanki, jak to jest w zwyczaju. I przez cały rok marzy się im ten tydzień tutaj, tydzień rekolekcji: i w końcu rzeczywiście je odprawiają... Przesyłają najpierw swoje panie; polecając mi je, rozumie się, bo nie przyjąłbym ich bez tej rekomendacji, jako osoby o starganych nerwach, które szukają wytchnienia od trosk rodzinnych, od nieszczęść, w niosącym pociechę środowisku religijnym. Ja udaję, że nie pojmuję, że nie wiem, o co chodzi: i zgadzam się. Bo wiem dobrze, że to ich marzenie o tygodniu miłości będzie w istocie tygodniem w piekle... Ten kretyń, który z panem rozmawiał, wyobraża sobie rozkosze i szaty erotyczne. A tymczasem, wie pan, co robi tych pięciu cudzołóźców, tych pięciu grzeszników? Oni się kłócą. I kłócą się bez powodu albo z błahego powodu, niejako dla samoudręczenia: właśnie dlatego, że cudzołożą, że się czują grzesznikami... Jeżeli zechciałby pan podsłuchiwać pod ich drzwiami (robią to wszyscy w tej chwili), usłyszy pan, jak się kłócą: bardziej niż jakakolwiek legalna para, z większą zaciekleścią, z większym okrucieństwem... Proszę mi wierzyć: najlepszy sposób uprawiania miłości to ten szybki, przypadkowy, jaki mają do zaofiarowania prostytutki...

– Jak to, ksiądz...

– To taka prosta rzecz uprawianie miłości... Które zresztą jest miłością: nie istnieje nic innego między mężczyzną i kobietą... To tak, jak mieć pragnienie i pić. Nie ma nic prostszego niż mieć pragnienie i pić? odczuwać zadowolenie podczas picia i po napiciu się; nie mieć już

pragnienia. To bardzo proste. Ale niech pan pomyśli: gdyby mężczyzna miał poświęcać wodzie, pragnieniu, picciu (w innym układzie dzieła stworzenia i innym przebiegu ewolucji) całe uczucie, myśl, ceremoniały, jakie poświęca miłości, nie mówiąc już o nakazach i zakazach, nie byłoby nic bardziej niezwykłego, bardziej cenniejszego niż pić, kiedy się ma pragnienie... A co do prostytutek: czy jest w życiu większa przyjemność, jak łyknąć sobie trochę wody z fontanny na rogu ulicy albo z przydrożnej studni wiejskiej...

– To żadna nowość, ta historyjka o pragnieniu i picciu.

– Rewolucyjna, rosyjska; ale, o ile pan pamięta, wysunięto sprawę szklanki: odmawiano picia ze szklanki, z której pił ktoś inny. To trochę reakcyjne, nie uważa pan?

– Purytańskie, powiedziałbym, purytańskie. Wszyscy rewolucjoniści są purytanami...

– Tak, gdyby powiedzieć: ja piję zawsze z tej samej szklanki...

– Zgoda. Ale czy aby ksiądz nie jest większym reakcjonistą, aprobując profesję prostytutek?

– Jestem w tej samej mierze reakcjonistą, co rewolucjonistą.

– I nie stawia ksiądz kwestii szklanek. – Cokolwiek uszczypliwie.

– Stóp. Tylko bez grubiaństwa: niech pan spróbuje wyzwolić się z tej przykrej i wulgarnej literatury o księżach, w której babrzą się nawet praktykujący katolicy. Więcej subtelności i powagi... Ja mogę powiedzieć o sobie to, co mówił pewien średniowieczny kronikarz o Henryku VII: „*Był czysty na ciele i z tej czystości musiał zmurszeć od wewnątrz*”. Właśnie czystość prowadzi mnie do upraszczania tego, co zwykle się nazywać miłością. A nieczystość prowadzi pana do jej komplikowania. Naturalnie, przyznaję, czystość jest straszna, ale tylko z początku, gdy się ją wybierze i trzeba się z nią zmierzyć... Potem następuje coś bardzo podobnego, pan powinien mnie zrozumieć, do tego, co zachodzi w sztuce,

dla tych, którzy ją uprawiają: ograniczenia i wymagania ekspresji stają się jej formą, a przestają być ograniczeniami i zakresami. Podobnie czystość jest najwznioślejszą formą, do jakiej może dojść miłość własna: sprawia, że życie staje się sztuką.

– Ja nie mogę żyć – powiedziałem – nie kochając kobiety: i to z wszystkimi możliwymi komplikacjami. Nie wciąż tej samej, oczywiście. Znika z mojego życia jedna i pojawia się inna. A niekiedy druga pojawia się, nim zniknie pierwsza.

– I założyłem się, że jest to zawsze ta sama. Mam na myśli: z usposobienia, a może nawet i z powierzchowności.

Zastanowiłem się chwilę.

– Może wygrałby ksiądz zakład – odrzekłem.

– A widzi pan? Dotknięty pan jest słabością raczej powszechną, raczej banalną... Przystaje się być dzieckiem w okresie dojrzewania, ale większość ludzi znajduje sposób, by nadal być dziećmi w życiu erotycznym, w które wprowadziła ich dojrzałość płciowa... Wyjaśniam: wśród wielu niepoważnych odkryć badaczy psychologii dziecięcej znalazło się jedno poważne, a mianowicie tak zwane prawo powtarzania podobnych czy tych samych rzeczy, nie pamiętam dokładnie. Było to zresztą bardzo łatwe odkrycie! Dziecko chce, by mu opowiadać tę samą bajkę, ma zawsze jedną ulubioną zabawkę, powtarza te same zabawy: dopóki nie przestanie być dzieckiem. Donzuaneria nie jest niczym innym jak przedłużeniem owej zabawy: na młodość i na starość. Ja przeszedłem od młodości do starości, przeskakując stadium dojrzałości, właśnie dlatego że u mężczyzn dotkniętych tego rodzaju słabością dojrzałość nie istnieje. Donzuaneria jest przedłużeniem niedojrzałości: aż do dzieciństwa, które jest skądinąd słuszną konsekwencją, i aż do śmierci... Proszę to wziąć pod uwagę: wszyscy donzuani dzieciństwo na stare lata.

– Tuż przedtem odbiorę sobie życie. Założywszy, że naprawdę jestem

dotknięty donzuanerią.

– Jest pan. I nie odbierze pan sobie życia tuż przedtem: z tego prostego powodu, że nie uda się panu dostrzec linii demarkacyjnej, granicy.

– Czy nie przyszło księdzu na myśl, że używa ksiądz w tej chwili przeciwko mnie starej broni, seksofobii katolickiej? Z wariantem, że obiecuje mi ksiądz zdziecinnienie zamiast piekła.

– Pan się grubo myli: nie było nigdy seksofobii katolickiej. W przeszłości nie robiło się nic poza wzbogacaniem, wysubtelnianiem. Już raczej dziś, w tej metodzie pobłażania, można by się dopatrzeć symptomów seksofobii. A co do obietnic, czyli gróźb, to niczym panu nie grożę. To było po prostu stwierdzenie z mojej strony. Pan będzie mógł stwierdzić to samo, rozejrzawszy się dokoła. Myślę, że znał pan mężczyzn, którzy uganiaли się za kobietami, raz za tą, raz za tamtą albo za kilkoma jednocześnie: niech pan spróbuje przypomnieć sobie ostatnie lata ich życia.

I pozostawił mnie tym dręczącym rozmyślaniom.

Punktualnie po upływie godziny dziedziniec zaroił się od gości. Mieli za sobą medytacje i było to widać. Pałali chęcią obwieszczenia sobie wzajem ich wyniku: duża liczba propozycji i duże liczby w propozycjach, pikantne dykteryjki wymierzone w przyjaciół-nieprzyjaciół i w nieprzyjaciół-przyjaciół, pochlebstwa, lizusowskie hołdy. Większość prowadziła konwersację po dwóch, szepcząc coś sobie do ucha: i przyszło mi na myśl *nun quam duo*, co jest regułą w seminariach duchownych i powinno obowiązywać na każdym zebraniu katolików. Nietrudno było odgadnąć, że ci dwaj, którzy stali obok mnie, knuli coś na zgubę dwóch innych, stojących po przeciwnej stronie, i vice versa; i podobnie każda z dwójek spiskowała przeciw innej stojącej opodal: tak więc dziedziniec stawał się niejako warsztatem tkackim, na którym rozciągała się gęsta osnowa podstępów i szachrajstw; a czółenka przechodziły z ręki do ręki.

Krążyłem między parami, między grupkami, chwytając słowa, fragmenty zdań, całe zdania: wypowiedziane szeptem, czasem urywane i niepewne, czasem stanowcze. Ogólnie sprawiało to wrażenie, jak gdyby wszyscy rozmawiali o południowej refekcji i o tej, którą mieli skosztować za kilka godzin: o braku apetytu u nielicznych wyjątków i o świetnych apetytach większości. Ten je, tamten jest głodny, ów nie jadł jeszcze, nie chce jeść, chce, nie może, trzeba go zmusić do jedzenia, musi przestać się objadać, istnieją granice obżarstwa; i tym podobnie. Uświadomiłem sobie, że posługują się przenośnią, a ja, posuwając się jeszcze dalej w tej przenośni, zobaczyłem ich wszystkich na dnie głębokiego leja, gmerających w zgniłych odpadkach jedzenia.

Poszedłem na spacer do lasu. Gdy wróciłem, wszyscy już siedzieli przy stole.

Don Gaetano przywołał mnie gestem ręki na to samo co przedtem miejsce. Kardynała i biskupów już nie było. Krzesła ich zajęli inni dygnitarze, których don Gaetano mi przedstawił. Ich nazwiska i pozycja w świącie były mi znane. Znów postanowiłem, że wyjadę nazajutrz rano.

Nie brałem udziału w rozmowie, chociaż toczyła się na różne tematy. A nawet jej nie słuchałem, chyba że zabierał głos don Gaetano. Wszystkie jego wypowiedzi były cięte i zwięzłe: cytaty padające z chłodną wyższością, kalambury, repliki. Głównie z uwagi na mnie, bo mimo że, jak zazwyczaj, jego oczy wpatrzono były gdzieś w dal, w próżnię, śledził mnie i rozszyfrowywał przyczynę mojego milczenia. Okazywał więc, że solidaryzuje się ze mną w pogardzie? jak gdyby chciał powiedzieć: „Pojmuję pańską niechęć, ale proszę zwrócić uwagę, jak ja ich traktuję”. Lecz ja miałem urazę również do niego.

Po refekcji, kiedy całe towarzystwo zaczęło się wysypywać na dwór, zobaczyłem, że wszyscy gromadzą się wokół don Gaetana, nie bezładnie, ale jak gdyby w określonym z góry porządku, na zbiórkę. I ciekawość

okazała się silniejsza niż mój zły humor.

Utworzyli koło. W pewnej chwili, może gdy uznali, że już są w komplecie, koło rozciągnęło się i przybrało kształt czworoboku. Don Gaetano, który stał pośrodku koła, znalazł się teraz w środku pierwszej linii czworoboku. Przez chwilę stali w tym szyku nieruchomo i w milczeniu: potem ozwał się głos don Gaetana: „*W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego*” – i czworobok poruszył się. Dziedziniec, jak już wspomniałem, był rozległy; i wywierał wrażenie jeszcze rozleglejszego, ponieważ wygaszono na nim prawie wszystkie światła. Czworobok pomaszzerował od drzwi hotelu na przeciwległy kraniec dziedzińca. Tam zakołysał się jak gdyby i próbował na nowo wyprostować szeregi, odmawiając „*Pater Noster*”. Już w należyтым szyku ruszył w stronę hotelu z „*Pozdrowieniem Anielskim*”; w świetle padającym z drzwi i okna na parterze zobaczyłem, że w pierwszym rzędzie, z don Gaetanem pośrodku, szli już nie ci sami co przedtem. I stwierdziłem, że ten ruch w szyku był o wiele bardziej regularny, niż mi się wydawało z daleka: zanim miał nastąpić zwrot w tył, don Gaetano zatrzymywał się przepuszczając cały czworobok i łączył się z nim ponownie, krocząc w ostatnim rzędzie, który stawał się pierwszym, gdy maszerowano w przeciwnym kierunku. Oczywiście niektórzy mylili krok, ale różaniec nie tracił rytmu.

Koło mnie usiadł jakiś mężczyzna. Nie zwracałem na niego uwagi? gdy jednak usłyszałem, że śmieje się cicho, że chichocze, obejrzałem się. Miał zakasane rękawy koszuli, serwetkę na szyi, a w rękę drugą serwetkę, którą ocierał sobie twarz i głowę. Powiedział:

– Przyjeżdżam tu każdego lata, żeby mnie nie ominęło to widowisko, chociaż marnie mi płacą. Patrz pan na nich. – Zaśmiał się krótko, zachichotał; po czym szybko, jak w kinie, gdy się nie chce stracić wątku, przeoczył wejścia bohatera: – Jestem kucharzem. – I nadal, pochłonięty bez reszty widowiskiem, wydawał z siebie radosne trele.

A było na co patrzeć. Ten marsz tam i z powrotem przez dziedziniec, nie spacerowym, ale przyspieszonym krokiem, jak gdyby ze strachu przed ciemnością, który skłania do szybkiego powrotu w krąg światła (jasno było przed wejściem do hotelu i tam zwalniali tempo, niejako ociągając się z powrotem w ciemność); te ich głosy wzbijające się w „*Ojciec nasz*”, „*Zdrowaś Maria*” i „*Gloria*”, jak gdyby zatrwożone i histeryczne; przeplatający się z nimi głos don Gaetana, daleki i chłodny; głos, który sprawiał, że zwroty takie, jak „*orędzie boskiej tajemnicy*”, „*tajemnica zbawienia*”, „*wąż odwieczny kusiciel*”, „*włócznie przebijająca serce*”, nasiąkały sensem czysto fizycznym, nie były już metaforą, lecz wydarzeniami mającymi się urzeczywistnić, urzeczywistniającymi się w tym miejscu na krańcu świata, na krańcu piekła, jakim był hotel Zafera. Ale nawet ten, kto widział na własne oczy, jak ja i kucharz, ich nikczemną mistyfikację i śmieszność, musiał dostrzec, że było coś prawdziwego, prawdziwa bojaźń, prawdziwa męka, w tym chodzeniu po ciemku, w tym odmawianiu pacierzy; coś naprawdę na miarę ćwiczeń duchowych; jak gdyby byli i czuli się pogrążeni w rozpacz, w chaosie otchłani piekielnej, u progu metamorfozy. I bezwiednie przyszedł mi na myśl Dantejski krąg Piekła, krąg złodziei.

– Podobała się panu scena różańca? – zapytał mnie nazajutrz don Gaetano.

– Bardzo.

– Wiedziałem, że się panu spodoba.

– Szkoda, że delektowaliśmy się nią tylko we dwóch: kucharz i ja.

– Aha, kucharz... Tak, wiem, że w tym zasmakował. To człowiek inteligentny, co widać po jego kuchni: ale zażarty wróg kleru, na starą modłę. Nie sądzę, aby był komunistą; to może republikanin albo socjalista... Ale myli się pan myśląc, że delektowaliśmy się tylko we dwóch: ja też się delektowałem.

- Czy wolno o coś zapytać?
- Proszę.
- Co z księdza za ksiądz?
- Ksiądz taki, jak wszyscy inni księża.
- Nie, tego bym nie powiedział.
- Czy pan zna wielu księży?

– Znałem wielu. Jako dziecko, jako młody chłopak. W małej mieścinie. Kilku dobrych, kilkunastu złych. Dobrzy to byli ci, którzy wtrącali się w cudze sprawy; nie wyduszali ostatniego grosza za śluby, pogrzeby i chrzty; robili jakieś upiększenia, czyli szkody, w swoim kościele; nie dostarczali powodu do plotek. Żli to byli ci chciwi i skąpi; którzy dopuszczali do ruiny swojego kościoła; którzy spowiadając żony podżegali je przeciwko mężom; którzy otaczali się urszulankami, dziećmi Marii i nadzianymi pieniędzmi bigotkami. Lecz zarówno dobrzy jak źli byli zupełnymi nieukami.

– Pojmuję pański problem: nie wie pan, czy mnie umieścić między dobrymi, czy między złymi... A więc: jestem bardzo zły.

– Nie na tym polega mój problem.

– Ależ tak, na tym... I dawno by już pan go rozwiązał, umieszczając mnie pomiędzy złymi, gdyby nie ta mała trudność, że nie jestem nieukiem... *J'ai lu tous les livres...* Ale może pan obejść tę przeszkodę: jestem złym księdzem, który w przeciwieństwie do owych złych księży, znanych panu sprzed lat, przeczytał wiele książek... Co więcej, chcę panu podsunąć mały paradoks jako wyjaśnienie, dlaczego zakwalifikowałem się do złych nie przez skromność, lecz z przekonania. Do ocalenia i więcej niż do ocalenia, do triumfu Kościoła przez wieki, przyczynili się bardziej źli księża niż dobrzy. Idea doskonałości bowiem żyje za obrazem niedoskonałości: ksiądz, który łamie świętość albo po prostu ją depcze swoim sposobem życia, w istocie ją potwierdza, wywyższa, służy jej...

Lecz jest to prawda całkiem banalna: mógłbym ją wypracować subtelnie lub skomplikować.

– A więc największym papieżem był Aleksander VI.

– To też jest banał: takiego powiedzenia, wybaczy pan, mógłbym się spodziewać po kucharzu. Ale chcę się z panem zmierzyć: Aleksander VI, *malgio lui*, był wielkim papieżem. Gdyby mi pan kazał dokonać wyboru między Piusem X i Aleksandrem VI...

– Wybrałby ksiądz Aleksandra VI.

– Właśnie. Ale proszę pamiętać, że obracamy się w sferze paradoksu. Wychodząc poza nią, mogę także powiedzieć, że wielkość Kościoła, jego uduchowanie, wynika ze współistotności czegoś w rodzaju historyzmu absolutnego: nieuniknionej i precyzyjnej konieczności, niewątpliwego pożytku każdego wydarzenia w jego łonie w odniesieniu do świata, każdej jednostki, która mu służy i daje mu świadectwo, każdego ogniwa jego hierarchii, każdej zmiany i sukcesji...

– Ksiądz jest fanatykiem.

– Uważa pan, że mógłbym nim nie być w tej księżej sukience? O ile oczywiście uważa pan za fanatyka człowieka, który jest czegoś pewny... Ale moja pewność, tego pan nie wie, jest równie destrukcyjna jak pańskie wątpliwości... Tak czy inaczej, możemy wrócić do paradoksu, jeżeli jest to forma prawdy, która najbardziej panu odpowiada.

– Nie, dajmy sobie spokój z paradoksami. Proszę mi powiedzieć w najbardziej bezpośredniej, najprostszej formie: czym jest Kościół?

– Oto więc dobry ksiądz powiedziałby panu, że jest wspólnotą powołaną przez Boga; ja, który jestem złym księdzem, powiem: jest tratwą, „*Tratwą «Meduzy»*”, jeżeli pan chce; ale tratwą.

– Pamiętam obraz Géricaulta, ale nie bardzo pamiętam, co się działo na tej tratwie, chociaż parę lat temu przeczytałem wszystko na ten temat. Coś przysłowiowo koszmarnego... Czy uratował się ktoś na tej tratwie?

– Piętnastu na stu czterdziestu dziewięciu: może zbyt wielu... Och, nie, nie mówię o tratwie „Meduzy”: mówię o tratwie Kościoła. Dziesięć procent to dużo.

– A co zrobiło tych piętnastu, aby się uratować?

– Nie interesuje mnie. To znaczy: nie interesuje mnie od tej chwili, kiedy tratwa „Meduzy” jest dla mnie metaforą tego, czym jest Kościół.

– Ja wolę zginąć od razu, utonąć.

– Ależ nie, pan płynie, by osiągnąć tratwy. Bo jej rozbitcie już nastąpiło... – Uśmiechnął się niemal ubawiony. – Nie zauważył pan?

Zostałem sam. I myśląc o tratwie „Meduzy”, próbując przypomnieć sobie, co się tam działo, ruszyłem w kierunku mojego samochodu. Nie mogłem odtworzyć w pamięci owych wydarzeń; lecz ogarniało mnie uczucie grozy, jak wówczas, kiedy o nich czytałem. O kanibalizmie, to prawie pewne. „To jest moje ciało, to jest moja krew”. „*Totem i tabu*”, moje pierwsze zetknięcie z Freudem: wielkie objawienie, osłepiająca błyskawica. Dopiero później zdajemy sobie sprawę, że wielkie objawienia spływają na nas łagodniejszym i ciągłym światłem, prawie niedostrzegalnie... Ale nie, nie płynąłem, aby osiągnąć tratwy. I nie nastąpiła jeszcze katastrofa. Życie było jeszcze, przynajmniej dla mnie, okrętem o dobrze wyważonym i utrzymującym równowagę omasztowaniu (jak przetłumaczyć: *steamer balancant ta mature* z wiersza Mallarmégo, z którego don Gaetano zacytował ową połowę wersu „przeczytałem wszystkie książki”? I powtarzając sobie od początku: *La chair est triste, hélas et j'ai lu tous les livres...*, oderwałem się od drażniącej myśli o tonących rozbitkach i o tratwie).

Pojechałem do miasta Piec: a jednak zagłębiłem się w nim z pewną przyjemnością, godząc się z upałem, z piekącym skwarem lata, jak gdyby na przekór don Gaetanowi i jego hotelowi-pustelni z jej rzejskim powietrzem i rozkosznymi podmuchami wiatrów.

Wróciłem do pustelni wczesnym popołudniem, lecz po to, żeby zdrzemnąć się w lesie. A przynajmniej taki miałem zamiar. Skończyło się jednak na tym, że się wybrałem na polanę, gdzie opalały się panie, i spędziłem czas w ich gronie. Uroczę popołudnie. Ale nie posunąłem się za daleko, nawet w stosunku do tej, która była najbardziej zalotna (ale była zalotna dlatego, że nie udało mi się ukryć, iż najbardziej mi się podoba), ponieważ zdecydowałem już, że nazajutrz wyjadę. Chciałem zostać jeszcze na jedną noc w tym koszmarnym hotelu i obejrzyć powtórnie scenę różańca. Byłem nią równie urzeczony jak kucharz.

Ale do łańcucha przyczynowości i przypadkowości dołączało się nowe ogniwo.

Kolacja przebiegała jak zazwyczaj. Czterech innych zajęło miejsca tamtych czterech, którzy w przeddzień zasiedli na miejscach kardynała i biskupów. Zrozumiałem, że don Gaetano, trzymając uparcie przy swoim stole ministra i przemysłowca, może na zasadzie preferencji, a może predylekcji, zmieniał codziennie czterech współbiedników. Przedstawił mi ich. Nazwiska znane mi, jak im moje. Jeden z czterech był prezesem ogromnego przedsiębiorstwa państwowego, niedawno zrezygnował z krzesła w senacie, by objąć to stanowisko. Twarz spiczasta, lisia. Dobrze zorientowany w patrystyce i scholastyce: i wymiana cytatów między nim a don Gaetano, podczas całej kolacji, przypominała partię ping-ponga. W końcu zainteresowałem się Orygenesem, Ireneuszem i Pseudo-Dionizym, ale w sensie całkowicie heretyckim. Na modłę Borgesa, dodam dla wyjaśnienia.

Jak poprzedniego wieczora, wyroiliśmy się wreszcie wszyscy na dziedziniec. Usiadłem obok kucharza, który już był na posterunku.

- Pan też w tym zasmakował – powiedział mi na powitanie.
- No tak, to niezwykle widowisko.
- Bezczenne; mówię to panu ja, który po trosze przypłacam je zdrowiem.

A wcześniej czy później przyjdzie mi za nie zapłacić pełną cenę: nabawię się zapalenia płuc, oj, nabawię się. – Trzymaną w rękę serwetką starannie wytarł twarz, kark, głowę, uszy. – Pan sobie nie wyobraża, co to za piekło te kuchnie: a ja wychodzę prosto na dwór, na ten przewiew; na nic już nie zważam, bo mam tyle roboty i śpieszę się na to widowisko... Ale to frajda, Chryste, co za frajda: widzieć tych wszystkich skurwysynów przechadzających się tam i nazad i odmawiających różaniec.

– Kościół – powiedziałem – przynosi pociechę nawet nam, niewierzącym.

– Może tak jest. Ale ja sobie gwizdzę na Kościół.

– Jak więc do tego doszło, że pracuje pan w księżym hotelu?

– Przypadkiem. To znaczy: wystrychnął mnie na dudka mój kolega. Powiedział mi: „Jestem chory, jedź i zastąp mnie przez kilka dni”. A tymczasem znalazł sobie inne miejsce, lepiej płatne. Kiedy się dowiedziałem, na gwałt chciałem odejść. Ale don Gaetano... Poza tym to widowisko... Ale powiedziałem don Gaetanowi: „Nie dziś, to jutro dosypię kilogram strychniny do zupy, i szukaj wiatru w polu”.

– A co na to don Gaetano?

– Wie pan, co mi odpowiedział ten wielki skurwysyn? – W owym wyrażeniu były jednak podziw i nabożne oddanie, – Odpowiedział mi: „Synu mój, uprzedź mnie, kiedy nadejdzie ten dzień, to się obejdę bez zupy”... Widzi pan, co za oryginał?... Ale, o, już się zaczyna – i poprawił się w krześle.

Zaczynało się, istotnie. Czworobok poruszył się, zabrzmiał głos don Gaetana:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

– Anioł Pański...

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

– Zdrowaś Maria...

- Chwała Ojcu...
- Ojcie Przedwieczny...
- Ojcie, zgrzeszyłem...
- Ojcie nasz...
- Zdrowaś Maria...
- Chwała Ojcu...
- Witaj, Królowo...

Wznoszone to przez don Gaetana, to przez chór modlitwy rozlegały się w ciemnościach nocy: i wszystko, głosy, sens słów, ów niedorzeczny marsz zwierząt w klatce, to wleczenie się, zwalnianie kroku w mdłym świetle i lękliwy pośpiech przy zagłębianiu się w mrok; to wszystko miało w sobie coś z widziadła, coś z magii, ale z domieszką mistyfikacji i groteski, jakie sceptycy dostrzegają w seansach spirytystycznych.

- Święta Mario.
- Matko Boża.
- Święta Panno nad Pannami.
- Matko Chrystusowa.
- Matko Łaski Bożej.
- Matko Najczystsza...

Zamajaczyło mi wspomnienie, ale nie łacińskich słów, tylko sposobu, w jaki wymawiały owe słowa kobiety, które zimą wokół kociołka z żarem, a latem na podwórzu zbierały się na różaniec, w latach mojego dzieciństwa. I to wspomnienie potęgowało jeszcze groteskowość groteski, zwłaszcza gdy przypominałem sobie *Tunis ebumea*, która stawała się *burrea* – maślana: dla mnie niemal obietnica, że w rajku będzie Chleb z masłem, za którym przepadałem od dziecka.

- Wieżo z Kości Słoniowej.
- Domie Złoty.
- Arko Przymierza.

– Bramo Niebieska.

Don Gaetano wymówił te słowa i chór miał odpowiedzieć: „*Módl się za nami*”, kiedy dało się słyszeć coś, jakby korek wystrzelił z butelki.

Czworobok był na krańcu dziedzińca, w najodleglejszym punkcie od wejścia do hotelu i od miejsca, gdzie siedzieliśmy, ja i kucharz. Właśnie wyrównały się szeregi po w tył zwrot: i oto między „*Bramą Niebieską*” a „*Módl się za nami*” ów wystrzał zatrzymał je na ułamek sekundy, zawiesił w niepewności i zaraz potem rozproszył w popłochu.

Na miejscu pozostał don Gaetano. A za nim, o jakieś dziesięć, piętnaście metrów, widniała jasna plama, a raczej nie plama, tylko masa.

Nim wzrok mój rozpoznał w tej masie kształt leżącego człowieka, upłynęło około trzydziestu sekund, tyle, ile potrzebował don Gaetano, który właśnie stał nieruchomo jak posąg i patrzył w kierunku hotelu, aby obejrzeć się i podejść do leżącego. Zobaczyłem, jak pochyła się nad nim i porusza go. Kucharz i ja poderwaliśmy się równocześnie i dobiegliśmy, gdy don Gaetano przyklęknął już na jedno kolano i uniósłszy prawą rękę mówił:

– *Ego te absolvo in nomine Patris, Filii et Spiritus Sancti.* – Popatrzył na nas, wstał. – Nie żyje – powiedział.

Był to eks-senator, prezes wielkiego przedsiębiorstwa państwowego, który podczas kolacji zonglował cytatami z don Gaetanem. Po śmierci jego twarz straciła lisią chytrą i nabrała dziwnej kruchości – jak gdyby wymodelowana z bardzo nietrwałej materii – i boleśnie zamyślonego wyrazu. Przyjrzałem mu się uważnie przy drgającym płomyku mojej zapalniczki. Potem popatrzyłem na don Gaetana i kucharza. Niewzruszony, księżulo. A kucharz pocił się jeszcze bardziej niż przy kuchni.

Wszyscy, którzy uciekli, teraz powracali. W tym ich zbliżaniu się do nas była niecierpliwość i była ostrożność, ciekawość, chęć dowiedzenia się i zobaczenia, i strach przed tym, czego się dowiedzą i co zobaczą. Cisnęły

się im do głowy pytania i podchodząc bliżej pytali nas gorączkowo: „Kto to? Ale co się stało? Ale jak? Zastrzelono go? Kto strzelał?” Aż w końcu otoczyli nas zwartym kręgiem. Wyszedłem zeń przepychając się łokciami; za mną kucharz. Don Gaetano powiedział: „Trzeba wezwać policję” – i upominając, żeby nie dotykać zwłok, także wydostał się z kręgu i podążył długim i zdecydowanym krokiem do hotelu.

Wróciliśmy na nasze krzesła. I, dziwna rzecz, znowu poczułem się w charakterze widza: niemal jak gdybym doszedł do wniosku, że zbrodnia była jednym z fragmentów happeningu, wprowadzonym dla ożywienia i uwspółcześnienia tego niesamowitego różańca. Kucharz natomiast był bardzo niespokojny.

– Całe szczęście – powiedział – że siedziałem razem z panem.

– Dlaczego? Myśli pan, że podejrzewano by pana?

– Nigdy nic nie wiadomo... Muszą znaleźć kogoś podejrzanego: a nie będą go szukać wśród tamtych... Przypuszcza pan, że mogliby być podejrzeni o zabójstwo jednego ze swoich, i w dodatku podczas odmawiania różańca?

– To mógł być tylko jeden z nich.

– To mówi pan i mówię ja; ale policja zacznie się dobierać do któregoś z nich, dopiero kiedy się upewni, że kelnerzy, personel kuchenny, okoliczni chłopci nie mieli najmniejszego powodu, żeby sprzątnąć tego dżentelmena... Kiedy się upewnią, mówię; i zobaczy pan, w jaki sposób... Może dla pana będą mieli względy.

– Między innymi dlatego – zażartowałem – że nigdy nie wyraziłem zamiaru ich otrucia.

– Niech pan o tym nawet nie wspomina; bo pan żartuje, ale jeżeli coś takiego dotrze do uszu policji, to mi nie popuszczą. Znam ja ich, oj, znam.

– Miał już pan do czynienia z policją?

– Tak, ale nie dlatego, żebym działał na czyjąś szkodę; dlatego, że

sam byłem poszkodowany. Okradziony. Okradziony z portfela przez nieznanego faceta, który prosił, żeby go podwieźć samochodem. Zgłosiłem kradzież do komisariatu. I wie pan, co oni sobie ubrdali?

– Że to pozorowanie kradzieży.

– Właśnie. Maglowali mnie przez pół dnia: żonaty, tak; związki pozamałżeńskie, nie; hazardowe gry, nigdy nie grałem; nawet na loterii, nawet na loterii; długi, nie jestem dłużny nikomu ani lira; ile miałem w portfelu, około stu tysięcy lirów; nie wiem dokładnie; to niemożliwe, i owszem, możliwe... I zaczęło się wałkowanie, on swoje, ja swoje, w końcu, wściekły, powiedziałem do sierżanta: „Proszę mi powiedzieć, a ile pan ma, dokładnie, w portfelu?” Pomyślał chwilę, bo m^oje pytanie go zaskoczyło, potem odpowiedział sucho, że trzydzieści siedem tysięcy pięćset. A ja – w naiwności ducha: „No to sprawdzmy”. Co się działo, koniec świata! Potem wezwali moją żonę i chcieli jej wmówić, że mam utrzymankę. Słowem: miałem cholerne kłopoty. Jako okradziony. A co dopiero, jak się dowiedzą o tym, co powiedziałem... Ale don Gaetano mnie zna i nic im o tym nie wspomnij a jeżeli ktoś o tym doniesie, jestem pewny, że mnie będzie bronił.

– Ależ oczywiście – powiedziałem żałując, żem zażartował.

Wrócił don Gaetano. Stał w progu, zaklaskał w dłonie, po czym zawołał: – Wszyscy do mnie!

Powoli zbliżyli się wszyscy. Don Gaetano powiedział:

– Zaraz przyjedzie policja. Dostałem polecenie, żeby nie ruszać nieboszczyka i trzymać się od niego jak najdalej. I żeby nikt nie opuszczał hotelu, naturalnie, ani nie kładł się do łóżka: bo go ściągną na dół... Siadźcie więc wszyscy po tej stronie; i spróbujcie przypomnieć sobie, coście widzieli i słyszeli w chwili wystrzału albo tuż przedtem. Im zwiąźlejsze i jaśniejsze będą wasze zeznania, tym szybciej to załatwimy.
– Znowu klasnął w dłonie, tym razem na służbę zgromadzoną w hallu. –

Przynieście prześcieradło do przykrycia zmarłego; i zapalcie wszystkie światła.

Światło spłynęło trzeba falami: oślepiające crescendo. Na skraju dziedzińca nieboszczyk, widoczny z mojego miejsca w skrótce, wydawał się jeszcze bardziej martwy; ale za chwilę dwaj kelnerzy zarzucili na niego biel prześcieradła. Noc zaroila się chmurą tańczących muszek i jaszczurek pełzających po murach ku lampom, teraz zapalonym. I teraz przyszło na mnie jakby objawienie grozy, do tej chwili niedostrzegalnej. Nawet cisza, która rozpostarła się dokoła, zdawała się mieć w sobie coś z tej ciszy, w której przemykały się jaszczurki. (Jaszczurki zawsze napawały mnie odrazą; a ci, którzy twierdzą, że jaszczurki przyczyniają się do utrzymania ładu w przyrodzie, bo zjadają szkodniki roślin, muszki, muszę przyznać, że nieład przejawia się, jeżeli już nie w samym istnieniu jaszczurek, to w istnieniu muszek; i że można by mówić o prawdziwym porządku wtedy, gdyby nie było ani muszek, szkodników, ani jaszczurek, które je zjadają).

W pewnej chwili dał się słyszeć głos ministra, lekko drżący pomimo arogancji zawartej w jego pytaniu:

– Don Gaetano, czy ksiądz powiadomił policję, że my tu jesteśmy?

– Jacy my? – odrzekł don Gaetano stanowczym i zimnym głosem.

– No, my... Słowem, my wszyscy... Ja, moi przyjaciele... – Minister był stropiony.

– Powiedziałem, że pan tu jest, i owszem – oświadczył don Gaetano. Lecz zabrzmiało to tak, jak gdyby powiedział: „Musiałem się przyznać, że przebywam w złym towarzystwie”. Bardzo mi się to spodobało. I spodobało się też kucharzowi, który trącił mnie łokciem.

Minister był zbity z tropu. Na widowni – bo byliśmy rozmieszczeni jak na widowni, wpatrzeni w zmarłego – zaległa cisza. Potem don Gaetano powiedział:

– Nie dopuszczam nawet myśli, że winowajca jest wśród was...

– Wszyscy nagle pomyśleli o tym, że winowajcą jest któryś z nich. Oczywiście wszyscy prócz zabójcy. Spoglądali jeden na drugiego, jak gdyby każdy z nich mógł w oka mgnieniu rozpoznać w najbliższym sąsiedzie człowieka, który zabił. – Myślę – mówił dalej don Gaetano – że strzelał ktoś z lasu. Może dla żartu.

– A to dopiero skur... syn – szepnął mi kucharz, podczas gdy na widowni rozbrzmiewał chór aprobaty.

Nie umilkł jeszcze, gdy z wielkim hałasem nadjechała policja.

– Dobrze, dobrze – powiedział komisarz rozejrzawszy się dokoła: my wszyscy po jednej stronie, nieboszczyk odizolowany; zgodnie z poleceniem.

– Drogi komisarzu – powitał go don Gaetano.

– A to dopiero kram – rzekł komisarz. I skierował się do nieboszczyka, a za nim don Gaetano. Odruchowo wstałem i poszedłem tam również? kucharz ze mną.

Komisarz uniósł prześcieradło, popatrzał, westchnął? i opuścił je.

– Kto to taki? – zapytał don Gaetana.

– Prezes Towarzystwa Furas, Michelozzi... Ostatnio wybrany na senatora? ale zrezygnował z tej godności, aby stanąć na czele przedsiębiorstwa Furas. Nadzwyczajny człowiek: kulturalny, gorliwy, nieposzlakowanej uczciwości...

– Czy można w to wątpić? – powiedział komisarz. Ale z akcentem ironii, jakby dawał do zrozumienia: „Nawet gdybym chciał wątpić, nie mógłbym sobie na to pozwolić”.

– No właśnie – odrzekł don Gaetano chwytając ową ironiczną nutkę, jak lusterko chwyta promień, i odsyłając ją komisarzowi w sensie: „Nie ma rady, mój drogi, musisz to wziąć za dobrą monetę”.

– Personel hotelu? – zapytał komisarz.

Kucharz szturchnął mnie łokciem w żebra.

– W porządku – odrzekł don Gaetano. – Nikomu nie można nic zarzucić.

– A tu, w okolicy?... Chciałem powiedzieć, czy któryś z okolicznych chłopów nie ma czegoś za złe księdzu, hotelowi... Sam nie wiem...

– Nikt nie ma mi niczego za złe – powiedział don Gaetano rozdrażniony. – A chłopci, ci nieliczni, którzy tu jeszcze pozostali, ciągną korzyści z hotelu: sprzedają, niby to z własnego kurnika, jaja, które kupują w mieście, a także sery, jarzyny... Kiedy nasi goście wyjeżdżają, mają złudzenie, że wiozą do domu świeże i zdrowe wiktuały prosto ze wsi...

– Ale czasami, jakiś fanatyk...

– Pan nawiązuje do tego, co się działo, kiedy wbudowałem pustelnię w hotel... Ale nie, to wszystko minęło: wielkie zarobki niweczą wielkie hasła, a małe niweczą małe fanatyzmy.

– Ale musi przecież istnieć jakiś powód... Czyli, nie wnikając na razie jaki: ktoś musiał strzelać. Bo co jak co, ale padł strzał, prawda? – zwrócił się też do mnie i do kucharza oczekując potwierdzenia.

– Wygląda na to, że tak – powiedział don Gaetano.

– A kto strzelał?

– Myślę, drogi komisarzu, że wykrycie tego będzie należało do policji.

– No tak – odrzekł komisarz z westchnieniem rezygnacji – to należy do policji... Tylko że kiedy oddano strzał, policji tu nie było.

– A my byliśmy tu, chce pan powiedzieć... Ale proszę mi wierzyć, jesteśmy w tym samym położeniu co policja, której nie było; w każdym razie ci wszyscy, którzy zebrali się na odmówienie różańca.

Kucharz ponownie trącił mnie łokciem.

– Oprócz zabójcy – powiedziałem.

Don Gaetano spojrział na mnie: swoim zwyczajem tak, jak gdyby mnie nie widział. I z głębokim zdumieniem, jakby moja odpowiedź miała pogrzyżyć go w bólu lub podtrzymać w nadziei:

– Czy pan sądzi, że to jeden z nas, jeden z tych, którzy odmawiali różaniec ze mną – kładąc nacisk na ze mną – dokonał zabójstwa?

– Bardzo mi przykro, ale myślę, że tak.

– A dlaczego?

– Dlaczego mam to przeświadczenie? Przede wszystkim dlatego, że jako amator strzelania z pistoletu i strzelby, mam, że tak powiem, wyczulone ucho: usłyszałem strzał głuchy, przytłumiony, jak gdyby broń była przyłożona do celu, do ciała. I mógłbym się założyć, że strzelano mu w plecy i że marynarka w miejscu, gdzie go trafiono, jest osmalona...

– Nie możemy tego sprawdzić od razu, trzeba poczekać na prokuratora i na lekarza – rzekł komisarz.

– I co jeszcze? – zapytał don Gaetano z pobłażliwością egzaminatora, który już postanowił ściąć kandydata.

– Co jeszcze... A więc, rozumując logicznie, myślę, że gdyby strzelał ktoś z zewnątrz, z daleka, ze skraju lasu, strzałów byłoby więcej, dwa lub trzy; ot, dla zabawy, aby sobie postrzelać w ciżbę.

– A jeżeli komuś, stojącemu na skraju lasu i wypatrującemu królika czy zająca, niespodziewanie wypaliła broń?

– Tego rodzaju polowania urządza się przy świetle księżyca, a teraz księżyc nie ma... I używa się strzelby, a my słyszeliśmy wystrzał z pistoletu.

– To pan słyszał strzał z pistoletu. Ja słyszałem strzał, który mógł paść z pistoletu lub ze strzelby, ale też mógł go spowodować korek od szampana – spreyczował don Gaetano.

– Nie został zamordowany korkiem od szampana – powiedział kucharz.

Zdziwiło mnie, że don Gaetano nie zareagował na sarkazm kucharza. Odrzekł:

– No właśnie, właśnie... – i zniknął.

Przyjechał prokurator i zaraz potem lekarz. Odniosłem wrażenie, że prokuratora już gdzieś widziałem; ale nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy i gdzie. Tak mniej więcej jak przy spotkaniu z kimś, kogo się znało, gdy był gruby, a teraz jest chudy; albo był chudy, a jest gruby. Komisarz jednak nie był ani gruby, ani chudy. Kiedy po tym, co w ich języku nazywa się obdukcją zwłok, jego oko spoczęło na mnie, z jego uporczywego spojrzenia, z ruchu ręki pocierającej podbródek, wywnioskowałem, że głowi się tak samo jak ja. I gdy w pewnej chwili z ust kucharza padło moje nazwisko, popatrzał na mnie jak ten, kto pierwszy rozwiązał zadanie, nad którym ktoś inny jeszcze łamie sobie głowę, i powiedział:

– Pamiętasz? Pierwsza B, rok 1941... Albo czterdziesty drugi?

– Czterdziesty pierwszy... Tak, pamiętam: Schembri.

– Scalambri – poprawił.

– Prawda, Scalambri...

– Po przeszło trzydziestu latach... I myślę, że gdzie indziej poznałbym cię natychmiast: ale tu!

– Dziwisz się, żeś mnie tu znalazł. Sam, szczerze mówiąc, dziwię się, że się tu znalazłem...

Poufale wziął mnie pod rękę.

– Opowiadaj, opowiadaj...

Poczułem się nieswojo. Zawsze starannie unikałem spotkań zarówno z byłymi kolegami szkolnymi, jak i z kobietami, w których kochałem się za młodu. Słowem, spotkań po wielu latach. A teraz pech chciał, że nie tylko doszło do tego koleżeńskiego spotkania po upływie trzydziestu z górą lat, ale obrzydziło mi je dodatkowo miejsce, w którym się znajdowałem, okoliczności, funkcja, jaką spełniał tu mój dawny kolega, poufałość, z jaką mnie traktował. Kilka miesięcy spędzonych w tej samej klasie nie miało większego znaczenia w sferze uczuć, nie doprowadziło do zażyłości. Tylko dwóch kolegów było mi bardzo bliskich w latach szkolnych: jednego

z nich widywałem potem stale, drugiego nie widziałem nigdy więcej. Wszyscy trzej mieliśmy słabe wyniki w nauce; ale czytaliśmy mnóstwo książek nie mających nic wspólnego z programem szkolnym, codziennie chodziliśmy razem do kina, zwieraliśmy się sobie ze swoich sympatii i antypatii... Scalambri, o ile pamiętałem, był celującym uczniem; z tych celujących, od których nigdy nie można było ściągnąć tłumaczenia z greki lub z włoskiego na łacinę (wypracowanie szkolne najbardziej przez nas znienawidzone, uważane za niedorzeczną szykanę).

Nie miałem mu nic do powiedzenia. Chciałem natomiast porozmawiać z nim o tym morderstwie. Ale gdy tylko poruszyłem ten temat, zrobił unik. Stał się nonszalancki i roztargniony: albo z zasady i nawyku zawodowego przybierał taką pozę, albo rzeczywiście był w kłopotcie w związku z tym wypadkiem, tym problemem, tu, o tej porze, wśród księży i wysoko postawionych osobistości politycznych, w sytuacji narzucającej mu ostrożność w śledztwie, takt, wnikliwość, przerastające jego możliwości (o czym byłem przeświadczony, odtworzywszy sobie w pamięci, jaki był w szkole). Tak czy inaczej, naszą rozmowę przerwał pojawienie się ministra. Scalambri poznał go. Puścił moje ramię: i od tej chwili zapomniał o moim istnieniu.

– Panie prokuratorze – rzekł minister po najbardziej wyszukanej wymianie uprzejmości – przypuszczam, że będzie pan chciał wysłuchać wrażeń każdego z nas, bo nikt, jak myślę, nie będzie miał do zreferowania nic poza swoimi wrażeniami... Jest nas jednak tyłu, sam pan widzi... – Czy nie można by, jest to prośba z mojej strony, odłożyć tego wszystkiego do jutra, na godzinę, którą pan wyznaczy...?

– Ależ oczywiście, oczywiście... – skwapliwie wyraził zgodę Scalambri.

– Dziękuję panu – powiedział minister. Jeszcze przez chwilę w skupieniu wpatrywał się w twarz Scalambriego niczym w mapę, na której

usiłował odnaleźć jakąś znajomą nazwę, jakąś znaną sobie miejscowość. Po czym westchnął przeciągle; i owo westchnienie zakończyło się okrzykiem: – Co za afera!

– Nic jeszcze nie wiem – powiedział ogólnie Scalambri. – Prócz tego, tych paru szczegółów, których się dowiedziałem od komisarza: tożsamość nieboszczyka, strzał z broni palnej...

– Człowiek nieposzlakowany, o prawości charakteru, niezłomności...

– Bezprzykładnych – uzupełnił Scalambri.

– Rzeczywiście bezprzykładnych – powiedział minister: jak gdyby bez tego „rzeczywiście” bezprzykładność mogła nabrać odcienia nieprawdopodobieństwa i ironii.

– Dlatego właśnie – oświadczył Scalambri – ta cała sprawa ma wszelkie dane po temu, żeby wyniknęła z niej, jak pan trafnie określił, afera... Jak tu, nie powiem już: znaleźć, ale wyobrazić sobie motyw?

– No tak, ma pan rację: nie można ani znaleźć, ani wyobrazić sobie... Pozwolę sobie powiedzieć z góry, że nie istnieje.

– Zawsze istnieje, panie ministrze, zawsze istnieje: błahy, szalony, niedostrzegalny dla normalnego człowieka; ale istnieje zawsze.

– Słusznie – przyznał minister – słusznie: ale błahy, ale szalony... Musiał paść ofiarą szaleństwa ten biedny, drogi Michelozzi. – Załkał niemal, wymawiając to nazwisko.

– Człowiek niezastąpiony – powiedział Scalambri, by okazać ministrowi, że podziela jego ból.

– Niezastąpiony – powtórzył jak echo minister; i obudził w mojej pamięci inne echo, bardzo, bardzo dalekie: kota ze słynnej książki Collodiego, kota, który stale powtarza ostatnie słowo lisa. – Proszę pomyśleć – ciągnął – że zrezygnował z godności senatora, aby objąć kierownictwo przedsiębiorstwa Furas.

– Szlachetne wyrzeczenie – powiedział Scalambri.

Już po pierwszych zdaniach zacząłem odnosić wrażenie, że słucham sztuki Ionesco. Ale miałem już tego dość, a ponieważ ci dwaj byli sobą pochłonięci jak parka zakochanych na ławce przed Saint-Germain w godzinie szczytu, oddaliłem się dyskretnie.

Odnalazłem kucharza, jeszcze wystraszonego. Dodałem mu otuchy i życzyłem dobrej nocy? i poszedłem do mojego pokoju, skąd aż do trzeciej rano słyszałem wrzawę, z której raz po raz wzbijały się zniecierpliwione głosy policjantów.

Obudziłem się o dziewiątej. I początkowo z wrażeniem, że zdarzenia ubiegłego wieczora przyśniły mi się tylko. Ale szybko odzyskałem pewność, że wszystko to było rzeczywistością, gdy otworzyłem okno: po dziedzińcu krążyli policjanci, stały szarozielone samochody policyjne; a tam, gdzie padł senator Michelozzi, widniał narysowany kredą posępny kontur, z czerwonawą plamą pośrodku.

Z gości hotelowych nie było widać nikogo: czy byli jeszcze w pokojach, jak ja, czy kontynuowali swoje rekolekcje?

Gdy wyszedłem z pokoju, cisza korytarzy przywiodła mi na myśl klasztor; lecz zbliżając się do windy, do schodów, usłyszałem szmer nieokreślony i ciągły, głuchy, niemal podziemny.

Wszyscy stłoczyli się hallu, w grupach, które w tym gęstym tłumie zdawały się tworzyć zygzaki łączące węzową linią człowieka z człowiekiem, wszystkich ze wszystkimi. Przypominały rysunki Steinberga.

Przemykając się zygzakami, dowiedziałem się, że prokurator rozpoczął już przesłuchanie w kancelarii don Gaetana. Zażądał, aby jako pierwsi zgłosili się ci, którzy w momencie, kiedy senator Michelozzi padł ugodzony kulą, stali w tym samym rzędzie; ale nie wystąpił nikt. Prokurator wyraził w oględnych słowach dezaprobatę; wszyscy przyznawali mu rację i oburzali się. „Jak to możliwe, żeby nikt nie pamiętał, czy stał, czy

nie stał obok tego nieszczęśnika Michelozziego?” To pytanie zadawali na pewno i ci, którzy stali przy nim: tak więc albo rzeczywiście nie pamiętali, albo chcieli się wykreścić; oczywiście z wyjątkiem osobnika, który strzelił i który miał wszelkie powody ku temu, aby się nie ujawniać. Prokurator rozpoczął przesłuchiwanie w porządku alfabetycznym, ale czekali tam już nawet ci na zet, których kolej mogła przyjść w najlepszym razie późnym wieczorem.

Scalambri był jednym z pierwszych w klasie, był może jednym z pierwszych na egzaminie konkursowym na wyższego urzędnika sądowego, lecz w prowadzeniu śledztwa z pewnością nie był orłem. Powinien był zacząć ode mnie i od kucharza, jako od ludzi postronnych; potem przystąpić do odtworzenia czworoboku na podstawie poszczególnych zeznań. A tymczasem wywołał panikę i każdy asekurował się jak mógł.

Podszedłem do drzwi kancelarii don Gaetana. Stał tam policjant, który uznał za stosowne mnie uprzedzić: „Bardzo przepraszam, ale musi pan poczekać na wezwanie pana prokuratora”. Nie miałem zamiaru wchodzić, dopiero ten zakaz obudził we mnie chęć, aby się tam dostać. Wyjąłem notes i narysowałem w stylu Steinberga czworobok odprawiających modły; u dołu napisałem: „Trzeba odtworzyć czworobok”. I przekazałem tę notatkę policjantowi.

– Dam mu to, kiedy mnie zawezwie – przyrzekł policjant.

Wezwał go po kilku minutach. I wyszli we trzech z kancelarii don Gaetana: Scalambri, policjant i kolejny z przesłuchiwanych. Ten ostatni, jak gdyby uciekając przed Scalambrim, wśliznął się natychmiast w grono przyjaciół, aby się zmimetyzować, zniknąć. Policjant wskazał mnie Scalambriemu, choć ten podchodził już do mnie machając kartką z rysunkiem, mówiąc: „Musisz mi to podpisać”. Owo żądanie, niemal okrzyk, wywarło takie wrażenie, że wszyscy umilkli. Patrzyli na Scalambriego sądząc, jak myślę, że trzyma w ręku czek: a tymczasem

spotkała ich niespodzianka, bo zobaczyli rysunek. Ja też byłem zaskoczony, ale czym innym. Mnie – wciąż nagabywanemu, śmiertelnie znudzonemu prośbami o podpis – przeważnie ze strony kelnerów – pod wszystkimi bazgrołami, jakie rysowałem na papierowej serwetce albo gazecie, czekając, zwłaszcza na kobietę, żądanie Scalambriego wydało się niedorzecznością, szaleństwem. Miałem ochotę mu odpowiedzieć jak Picasso pewnej dziewczynie błagającej go o podpis na rysunku, który właśnie od niego dostała: „O nie, moja miła, ten rysunek nic nie jest wart, ale mój podpis wart jest milion franków”; lecz powstrzymałem się. Powiedziałem:

– Ależ nie, to takie nic i wcale nie w moim stylu: wygląda na Steinberga lub na Floreę; zrobię ci inny, jak Bóg przykazał.

To wyrażenie rozbawiło Scalambriego.

– Jak Bóg przykazał: widzę, że się dostosowujesz do otoczenia. – I potem: – Ale czy naprawdę? Przyrzekasz mi?

– Przyrzekam.

– Dziś?

– Dziś.

Uspokoił się, lecz na wszelki wypadek wsunął kartkę do kieszeni; i zapytał:

– Uważasz więc, że trzeba rozstawić tych ludzi w takim porządku, w jakim odmawiali różaniec?

– Dokładnie tak samo.

– Masz rację: przesłuchanie jednego po drugim nic nie daje? przeszło przez moje ręce już sześciu czy siedmiu: nie pamiętają nawet swojego nazwiska. – Zwrócił się do policjanta i kazał mu poszukać komisarza, potem klasnął w dłonie, aby skupić na sobie uwagę wszystkich gości. Gdy mu się to udało, powiedział: – Panowie, doszedłem do wniosku, że przesłuchiwanie każdego z osobna jest tylko stratą czasu; przeprowadzę

więc próbę odświeżenia pamięci niektórych z was, w nadziei, że pobudzi to czy zmusi innych do przypomnienia sobie pewnych szczegółów... Proszę teraz wyjść na dwór i ustawić się tak, jak wczoraj wieczorem, kiedy zaczęliście odmawiać święty różaniec. – Wymówił słowo „święty” tak zagadkowo, że dla tamtych znaczyło ono: „jestem wasz”, a dla mnie wyrażało jego głęboko szyderczy stosunek do różańca i tych, którzy go odmawiali.

Powstało lekkie wzburzenie, odezwały się pojedyncze głosy sprzeciwu; Scalambri puścił je mimo uszu. Ale komisarz, który zdążył już się stawić na wezwanie, zabrał się wraz z policjantami do wykonania rozkazu; i uwijali się obaj jak owczarki zaganiające trzodę do zagrody.

Wreszcie wszyscy znaleźli się na dworze i wszyscy wokół don Gaetana, który pojawił się niespodziewanie. Jak poprzedniego wieczora; tylko przekształcenie koła w czworobok nie przebiegło już tak spontanicznie.

– Jak przypuszczam – szepnął mi Scalambri – nie byłeś w ich grupie: a więc tylko ty jeden możesz mi pomóc.

– Nie tylko ja; obok mnie siedział kucharz.

– Przeprowadźcie mi tutaj kucharza! – zawołał Scalambri.

Przyprowadzono mu go, bardzo przerażonego; pożałowałem, że o nim wspominałem.

Scalambri, na stopniu przed wejściem, wyglądał jak dyrygent na podium.

– Wy dwaj – do mnie i do kucharza – na miejsca, gdzie siedzieliście wczoraj wieczorem... Don Gaetano – łagodniej – proszę mi pomóc: kto stał z księdzem w pierwszym rządzie, kiedy wyruszaście?

– Jego ekscelencja minister, na pewno; i na pewno ten biedaczysko, prezes Michelozzi.

– Michelozzi stał więc w pierwszym rządzie; a zatem to już ustaliliśmy – rzekł Scalambri. – A teraz proszę sobie przypomnieć, kto jeszcze był

w pierwszym rzędzie... Ilu było w pierwszym rzędzie? – zwrócił się do mnie i do kucharza.

– Siedmiu, ośmiu – odpowiedziałem.

– Siedmiu, ośmiu – zawtórował mi jak echo kucharz.

– Siedmiu, ośmiu – powtórzył Scalambri. I błagalnie: – Don Gaetano, ekscelencjo: spróbujcie sobie przypomnieć.

– Chwileczkę: ja stałem po prawej stronie don Gaetana – powiedział minister. – Na prawo ode mnie stał... Kto stał na prawo ode mnie?

– Ja – zawołał ktoś; i podniósł rękę.

– Doskonale, proszę zanotować, komisarzu; profesor Del Popolo na prawo od jego ekscelencji... a na prawo od pana, panie profesorze?

– Na prawo ode mnie... Boże mój, kto stał na prawo ode mnie?

– Ja.

– Notować; poseł Frangipane na prawo od profesora Del Popolo... a na prawo od pana?

– Na prawo ode mnie inżynier Ludovisi – stanowczo odpowiedział poseł.

– Tak – rzekł inżynier występując naprzód z podniesioną ręką.

– A na prawo od pana, inżynierze?

– Na prawo ode mnie nikt. – Niemal uszczęśliwiony.

– Na lewo od don Gaetana – powiedział Scalambri z westchnieniem, dającym wyraz osobistej rezygnacji oraz ubolewania nad zmarłym, którego nazwisko miał wymienić – znajdował się więc ten nieszczęsny prezes Michelozzi. Ale kto stał po lewej stronie Michelozziego?

Zaległa nabrzmiała groźba cisza. Potem ozwał się drżący głos, uniosła się niepewna ręka.

– Może... Nie wiem... Wydaje mi się...

– Adwokat Voltrano – stwierdził Scalambri.

– Tak, ale... – rzekł adwokat.

– Był pan tam czy nie był?

– Tak, byłem. Ale...

– Ale? – Scalambri stał się twardy, szorstki.

– Nic takiego: po prostu mam wrażenie...

– Jakie wrażenie?

– No więc odniosłem wrażenie, że on nie przez cały czas był koło mnie.

– Co to znaczy? – Scalambri był teraz brutalny.

Adwokata Voltrano zdawała się wspierać siłą niewinności.

– To znaczy, że mam wrażenie, że on nie stał przez cały czas koło mnie.

– Ach! – wykrzyknął Scalambri: podejrzliwy, sarkastyczny.

– Naturalnie – wymknęło mi się. Bezwiednie.

Scalambri spiorunował mnie wzrokiem. Gdyby nie dawna znajomość i rysunek, który mu obiecałem, na pewno kazałby mnie wyrzucić. Uspokoił się i ograniczył do zwięzłego: – Co „naturalnie”?

Wstałem, podszedłem do niego i odciągnąłem go na bok.

– Mówię: „naturalnie”, bo jak zawsze istnieją dwie możliwości: albo adwokat Voltrano zabił Michelozziego i w obawie, że wcześniej czy później wykryjemy, iż znajdował się po jego lewej stronie, uprzedza fakty twierdząc, że ktoś wcisnął się między niego i senatora; albo adwokat jest niewinny i mówi prawdę: że ktoś tak wymanewrował, aby chyłkiem wysunąć się ze swojego szeregu i znaleźć się, po wkroczeniu w ciemność, przy boku Michelozziego... Znajdź innego, z innego szeregu, który zgłosi to samo zastrzeżenie co adwokat, to znaczy, że w pewnej chwili człowiek maszerujący z nim ulotnił się: a będziesz miał w ręku mordercę.

To, co powiedziałem, było tak logiczne, że uraziło Scalambriego. Jako prymusa. Odrzekł z uśmiechem politowania:

– Słuchaj no, czy ty jedynie czytujesz powieści kryminalne, czy też i

sam je piszesz?

– Piszę i wydaję pod pseudonimem – odpowiedziałem z powagą, która wprawiła go w zakłopotanie.

– Tak czy inaczej, to nie jest powieść – oświadczył powracając do śledztwa. Ale od tej chwili szedł po linii, którą mu nakreśliłem.

Tak minął cały ranek: kto miał kogo po lewej, kogo po prawej stronie, czy każdy miał po prawej i lewej stronie przez cały czas tę samą osobę. Z wyjątkiem czterech, wliczając adwokata Voltrano pięciu, wszyscy oznajmili, że żadna zmiana, żadne przesunięcie nie nastąpiło ani po ich prawej, ani lewej stronie. Oczywiście nie mogli przysiąc na Ewangelię: przejście z obszaru oświetlonego w ciemny, głębokie (jak twierdzili) skupienie przy odmawianiu różańca, fakt, że w ogóle nie mogli sobie wyobrazić zbrodni w swoim gronie, a co dopiero w chwili owych pokornych i zgodnych modłów (encyklika „*Supremi Apostolatus*”, zacytowana przez ministra), będących chlubnym przejawem miłości chrześcijańskiej; to wszystko sprawiło, że bardzo niewiele albo prawie nic nie zapamiętali z tych rzeczy, których odtworzenia żądał teraz od nich prokurator. Co do tych pięciu, którzy nie byli pewni, czy od chwili rozpoczęcia różańca mieli po bokach wciąż te same osoby, żaden nie posunął się dalej niż adwokat Voltrano: przelotne wrażenia, nic ponad to. Nie umieli czy nie chcieli powiedzieć, kto w pewnej chwili zajął miejsce sąsiada, z którym wyruszyli.

Scalambri był wściekły. Działając zgodnie z moją radą, zdołał po czterech godzinach odtworzyć kwadrat (który zresztą zmienił się z kwadratu w równoramienny trapez); znalazł pięć osób, którym majaczyło w pamięci, że nie przez cały czas miały po lewej czy prawej stronie tego samego sąsiada; ale tutaj dochodzenie utknęło na martwym punkcie, jak również nic nie wskazywało na to, aby zmaterializował mu się jakikolwiek podejrzany, choćby taki, którego zwolniono by zaraz po śledztwie. Był

tak rozwścieczony, że w obecności ministra i don Gaetana pozwolił sobie szydzić z wiary i praktyk religijnych tych wszystkich dżentelmenów, którzy nie grzeszyli dobrą pamięcią.

Minister przeżywał katusze, gryzł wędzidło. Don Gaetano natomiast zachowywał olimpijski spokój? i zaciął się w milczeniu. Dopiero przy stole, po modlitwie i błogosławieństwie, atakowany przez Scalambriego, który siedział po jego lewej stronie (ja po prawej), dał się wciągnąć w rozmowę; unikał jednak z nieporównaną maestrią poruszania tematu zbrodni, ilekroć Scalambri próbował go do tego skłonić. Według mnie wiedział; a przynajmniej wyczuwał. To samo wrażenie miał Scalambri, bo gdy wstaliśmy od stołu, szepnął mi do ucha:

– Żeby ten księżulo chciał mówić... – z warknięciem psa owczarskiego, który nie może chwycić zębami zdobyczy.

– I co dalej robimy, panie prokuratorze? – przyszedł zapytać komisarz.

– A co pan chce robić? – odrzekł Scalambri. – Pozostajemy jako goście w hotelu don Gaetana; i czy coś wyjdzie na jaw, czy nie, możemy tylko siedzieć tu, obserwować, węszyć.

– Czy mogę mówić swobodnie? – zapytał komisarz zerknąwszy z ukosa na mnie.

– Może pan.

– Aresztowałbym ich wszystkich, nie wyłączając don Gaetana.

– Komu pan to mówi, drogi komisarzu, komu pan to mówi... – Zamyślił się.

– Bądź co bądź – upierał się komisarz – oni wszyscy są w takim położeniu jak ten facet, który, gdy mu odczytano wyrok, powiedział: „Tylem przeszkrobał i nigdyście mnie nie przymknęli, a skazujecie mnie za to, czego nie zrobiłem”. Przyzna mi pan rację?

– Przyznam, drogi komisarzu, przyznam... – Z zamyślenia przeszedł w roztkliwienie i nagle uświadomiwszy to sobie wybełkotał: – Och, ale

to wino płata figle... Do łóżka, idę do łóżka... – i oddalił się chwiejnym krokiem, pozostawiając mnie z komisarzem.

– On też... – mruknął komisarz odprowadzając wzrokiem prokuratora: on też powinien iść do paki, bo zagmatwał sprawę, wypił za dużo w sytuacji wymagającej jasności myśli i szybkiego działania. Ale tu komisarz przypomniał sobie o mojej zażyłości ze Scalambrim, uznał, że się zagalopował i natychmiast postanowił się wycofać: – On też, powiadam... ja także czuję, że to wino uderzyło mi do głowy. Wiadomo: gdzie ksiądz, tam dobra piwnica.

– Don Gaetano jest znawcą – powiedziałem, aby go podrażnić. – Prawdziwym znawcą.

– Zna się nie tylko na winie: na wszystkim.

– Także i na zbrodniach?

– Czy na zbrodniach w ogóle, nie wiem. Na pewno przy spowiedzi nasłuchiwał się strasznych rzeczy... Ale wie pan, dałbym sobie uciąć... słowem, poszedłbym o każdy zakład, że on coś wyniuchał na temat tej zbrodni, że coś wie...

– Ja również jestem o tym przekonany.

Komisarz przemówił inkwizytorskim tonem:

– Zna go pan dobrze?

– Myślę, że nikt go dobrze nie zna.

– No tak – przytaknął melancholijnie.

– Jest to człowiek niezwykle.

– Niezwykły.

– Straszny.

– Straszny.

– Bardzo inteligentny.

– Bardzo inteligentny, tak; straszny; niezwykle... Ale niech mi pan wierzy: gdybym go dostał w swoje ręce na dwadzieścia cztery godziny

i mógł go przesłuchać po swojemu, tak jak to ja potrafię, don Gaetano wypłułby własną duszę, o ile ma duszę... i, na miły Bóg, proszę nie myśleć, że źle bym się z nim obchodził, że stosowałbym tortury... Ściągnąłbym go tylko z piedestału, dałbym mu tylko do poznania, że dla mnie wart jest tyle samo co pospolity złodziejaszek, co wykolejenciec przyłapany z paroma gramami heroiny w kieszeni... Wystarczy, że taki, co się ma za potężnego, znajdzie się w areszcie i usłyszy, że mu każą wyciągnąć sznurowadła z butów i zdjąć pasek, a zaraz załamuje się, drogi panie, nie wyobraża pan sobie, jak się załamuje.

– Nawet ktoś taki jak don Gaetano?

– I don Gaetano, i papież, i sam Ojciec Niebieski... Niech pan wyobraz sobie tę scenę: posterunek policji, pokój plugawy jak mój, ten typowy smród, który Gadda opisuje w tak nieporównany sposób i który bije w nos za każdym razem, gdy się mówi o policji (czuję go i ja, chociaż przywykłem do niego od lat); za biurkiem komisarz, który nie wstaje, który nie robi najdrobniejszego gestu, nie powiem już kurtuazyjnego, ale powitalnego; obok sierżant, który obojętnie lub nawet pogardliwie mówi: „Panie Montini, oddaj pan sznurowadła i pasek”... Koniec, mój drogi panie, koniec...

– Wolę sobie wyobrazić inną scenę: Ojca Niebieskiego zamiast papieża.

– No to niech pan pofolguje wyobraźni, niech pan pofolguje... – Oddalił się z uśmiechem, lecz zaraz wrócił zaniepokojony: – Och, ale proszę pamiętać, że powiedziałem to panu w zaufaniu, bo wiem, że myśli pan to samo co ja.

Uśmiechając się porozumiewawczo i jak gdyby żartem zapytałem:

– A co my obaj myślimy?

– Myślimy, że ciach, prach! – I zakreślił ręką półkole: siec, ścinać głowy.

Powiedziawszy prawdę, od lat nie przyszło mi na myśl, że ciach, prach trzeba siec, ścinać głowy; i nie dałbym wiary, że tego rodzaju myśl czy marzenie, wygasłe we mnie, pleni się bujnie, choć skrycie w duszy komisarza policji. Ale straciłem z oczu tyle rzeczy; nie dostrzegłem tylu zmian, tylu nowości. I nie tylko ja: również ludzie, których codziennie spotykałem. Ministrowie, członkowie parlamentu, profesorowie, finansisci, przemysłowcy: ci, których się zwykło nazywać klasą rządzącą. Ale czy oni w istocie, konkretnie czymś rządzą, czymś sterowali? Pajęczyną w próżni, własną słabiutką pajęczyną. Choćby ze złotych nici.

Snując smętne rozmyślenia nad pajęczyną, nad złotą nicią, na której byłem zawieszony, i nad tym, jak łatwo drgnienie gałęzi czy podmuch wiatru mogły ją zerwać (i nawet przystanąłem przed srebrną pajęczyną – nie złotą, jak nasza – która połyskiwała między gałęziami orzecha, odchyliłem jedną z gałęzi, do której była uczepiona, przyciągnąłem gałąź do siebie, po czym ją gwałtownie puściłem i zobaczyłem pozrywane srebrne nici i pająki biegające po nich w dół i w górę, jak oszalałe), znalazłem się na polanie, gdzie niedawno opalały się damy. Nie było ich. Przeszedłem jeszcze ze sto metrów: i nagle spostrzegłem don Gaetana, który, siedząc na okrągłym kamieniu z dawnej wyłóczarni lub młyna, baczenie mi się przygląda, chociaż ja, jak zwykle, odniosłem wrażenie, że wcale na mnie nie patrzy. Zbliżyłem się: i jeszcze przykrzejsze i dokuczliwsze stało się owo wrażenie, że on mnie nie widzi, że nie chce mnie widzieć. I dlatego zbuntowałem się, chciałem być wobec niego przykry i dokuczliwy.

– Czy ktoś wyjawiał księdzu na spowiedzi, że popełnił morderstwo albo że fałszywie zeznawał?

– Niech pan siada – rzekł don Gaetano wskazując miejsce obok siebie, na kamieniu. Rozbroił mnie, lecz próbowałem nie ustępować. Zacytowałem:

– „Żaden z tych, których wysoko wyniosło koło fortuny, nie może wiedzieć, kto kocha go prawdziwie”. – Siadłem jednak przy nim na kole młyńskim, chłodnym, jak gdyby spotniałym.

Cisza była bezbrzeżna, a pogłębiały ją jeszcze i zagęszczaly dobiegające z dalekiego horyzontu głosy, warkot silników, szczekanie psów. „Zabawmy się w «kto pierwszy się odezwie»,” – powiedziałem sobie: bo wieś, ta wieś, przносиła mnie w dzieciństwo, w krąg zabaw: bywało, że zmęczeni bieganiem, bawiliśmy się w niemówienie, nieśmianie się, w kto dłużej wytrzyma z zamkniętymi oczyma. Tu jednak wiedziałem z góry, że przegram. Istotnie zapytałem po chwili:

– Jakiego jest ksiądz zdania o metodach śledczych mojego przyjaciela Scalambriego?

– Ach, to pański przyjaciel?

– Bynajmniej, tak mi się powiedziało, z nawyku: kolegowaliśmy z sobą w liceum, nie widziałem go od wielu lat, nie wiedziałem nawet, że pracuje w sądownictwie... Czy myśli ksiądz, że on coś tu osiągnie?

– A pan?

– A cóż on może osiągnąć, męczennik, prowadząc śledztwo w tej niejako kongregacji?

– Proszę go nie nazywać męczennikiem, męczennikami byli święci... Grubo się pan myli, że jest to coś w rodzaju kongregacji: to kosz pełen żmij.

– Gryzą się między sobą?

– Nie zauważył pan?

– Nie mam dostatecznie wprawno go oka, by to zauważyć... Tak czy inaczej, nie będą się gryzły, aby ułatwić sytuację biednego Scalambriego.

– Kto wie? Wystarczy może wyciągnąć je z kosza i zobaczyć, kto jest najmniej pogryziony.

– I ten, myślę, jest winowajcą.

– Może sobie pan myśleć, co pan chce.

– A książdz?

– Co ja?

– Nie zrobi książdz nic, żeby mu ułatwić rozwiązanie problemu?

– To problem Scalambriego. Mnie nie może i nie powinien on dotyczyć.

– Ale sprawiedliwość, wina, pokuta...

– Nie. – Twardo. Potem, jak gdyby dobywając słowa gdzieś z dali, w proroczym uniesieniu: – Widzi pan: wiara w to, że Chrystus chciał położyć kres złu, jest najdawniejszym i najbardziej rozpowszechnionym błędem świata chrześcijańskiego. „Bóg nie istnieje, a więc nic nie jest nam dozwolone”. Owych wielkich słów, tak naprawdę, nikt nie próbował nigdy odwrócić: drobny, oczywisty, banalny zabieg. „Bóg istnieje, a więc wszystko jest nam dozwolone”. Nikt, powiadam, prócz Chrystusa. I w najgłębszej treści to właśnie jest chrześcijaństwo: że wszystko jest nam dozwolone. Zbrodnia, cierpienie, śmierć; czy myśli pan, że byłyby one możliwe, gdyby nie było Boga?

– A więc triumf zła...

– Nie zła, nie triumf zła: trzeba by brać za punkt wyjścia te słowa, słowa... Nie mamy jednak nic prócz słów... trzeba by wniknąć w niewyraźne bez odczuwania potrzeby wyrażenia go... Ale pan, zdaje mi się, nie bardzo wie, co robić z niewyraźnym? przejdźmy tedy do dawnych oskarżeń, do dawnych apologii. Do Tertuliana na przykład, który równie rozpaczliwie, jak daremnie usiłował bronić chrześcijan przed zarzutem zupełnej nieudolności w życiu publicznym: „My też występujemy na forum, prowadzimy targi, sklepy, łaźnie, zajazdy, jak wy, wszelki handel; współżyjemy z wami na co dzień...” Racja: tylko że dla nas życie codzienne, świat, to coś całkiem innego. To krawędź otchłani: w nas i wokół nas. To otchłań, która przyzywa otchłań. Strach,

który przyzywa strach. Dlatego wy, i słusznie, boicie się nas; i nie miał słuszności Tertulian nawołując was, byście się nas nie bali; miał natomiast słuszność twierdząc, że w tej samej mierze, co wy nas potępiaacie, Bóg nas rozgrzesza.

– Jacy wy?

– Wy, którzy widzicie życie, świat, sterowane przez owo forum, a forum przez Boga, chociaż nazywacie Go innym imieniem.

– A prowadząc ten wywód dalej, powie mi ksiądz, że morderstwo, które zdarzyło się tu, wśród gości księdza, fakt, że jeden z nich został zamordowany, a drugi, zbrodniarz najprawdopodobniej, pozostanie bezkarny, to ksiądz nic nie obchodzi... Czy to mi ksiądz powie?

– Mógłbym i to panu powiedzieć. Ale cierpię.

– A dlaczego?

– Bo mam jeszcze swoją słabą stronę, jeszcze obnażoną; ulegającą urazom, jeśli pan woli.

– I, jak się domyślam, nie jest to najlepsza strona.

– Wraca pan oto do słów, które wyrokuja, do słów, które dzielą; lepsze, gorsze, sprawiedliwe, niesprawiedliwe, białe, czarne. A tymczasem wszystko jest tylko upadkiem, długim upadkiem; jak w snach... – ostatnie słowo zawisło, jak gdyby wessane przez powietrze, przez drzewa, przeze mniej tak że gdy zostałem sam, siedząc na owym okrągłym kamieniu, otepiały, wydało mi się, że na chwilę zmorzył mnie sen; a może dłużej niż na chwilę.

Wstałem i ruszyłem w drogę powrotną do hotelu. Już z daleka zorientowałem się po hałasach, po głosach, że zaszło coś nowego.

Zaszło to, że – jak przypuszczano – adwokat Voltrano, rzucając się z okna swojego pokoju na ósmym piętrze, runął na stos cegieł i dachówek na tyłach hotelu, od strony kuchni. Kucharza, który drzemał na leżaku, obudził głuchy odgłos, ale że kucharz znajdował się w pozycji leżącej, nie

obejmował wzrokiem całą powierzchnię usypiska; dopiero widząc kilka obsuwających się cegieł, wstał i zobaczył to ciało w piźniamie, twarzą do ziemi, jeszcze drgające; i krzyknął tak przeraźliwie, że usłyszeli go wszyscy, nawet ci w pokojach od frontu. Usłyszał go również Scalambri poprzez gęste opary snu człowieka zamroczonego winem; i był teraz tam, od strony kuchni, już na dobre rozbudzony, wściekły, rozwrzeszczany.

Wokół kucharza, bladego, roztrzęsionego, zebrał się cały personel kuchenny, jeden z kuchcików raz po raz podsuwał mu dzbanek wina. Kucharz chwycił dzban oburącz, bo nie utrzymałby go w jednej ręce z powodu drżączki, pociągał łyk wina i oddawał dzban. Gdy to zobaczył komisarz, ryknął, że mu go upijają; a on musi mieć jasny umysł. Kucharz zaczął bluźnić pod nosem przeciwko Madonnie, przeciwko co znamienitszym świętym.

– Jasny umysł! Ja?! Dlaczego mam mieć jasny umysł? Co ja mam z tym wspólnego? Zbudziło mnie to plaśnięcie i zobaczyłem tego tam w piźniamie, drygał na tych cegłach jak jaszczurka trafiona z procy w głowę. I to wszystko. – Wyciągnął rękę w kierunku dzbanu i cofnął ją natychmiast, bluźniąc dalej. – I nie pozwalają mi nawet łyknąć wina.

Przystąpił do mnie młody długowłosy ksiądz.

– Jest wstrząśnięty, biedaczek: nigdy nie słyszałem, żeby bluźnił. – Na usprawiedliwienie kucharza i hotelu. Po czym: – Biedny mecenas Voltrano; pan go znał?

– Nie.

– Bardzo wartościowy człowiek, biegły adwokat: Święta Rota, unieważnianie małżeństw; ostatnio jednak poświęcił się polityce; ot tak, bez zbytniego rozgłosu, ale miał zręczne posunięcia, miał mir... Biedaczek, rokrocznie przyjeżdżał i molestował nas zawsze: „Tak mi zależy, żeby mieć pokój na ostatnim piętrze”. I zawsze spełnialiśmy jego życzenie.

– Także w tym roku – stwierdziłem.

– Właśnie, także w tym roku. – I jak gdyby się wzdrygnął.

– Ale niech ksiądz nie robi sobie wyrzutów, że spełnił jego życzenie: zginąłby również spadając z siódmego czy szóstego piętra. Albo nawet mieszkając na pierwszym piętrze, tyle że wówczas nie wyrzucono by go oknem.

– A więc pan przypuszcza, że go zamordowano?

– A ksiądz nie?

– Wielki Boże, jeszcze jeden!

– Jak się powiedziało a, trzeba powiedzieć b.

– Ale zbrodnia...

– Właśnie zbrodnia: jedna pociąga za sobą dalsze.

– Więc pan myśli, że będzie jeszcze więcej ofiar?

– Ależ nie: bardzo możliwe, że teraz i tutaj na tym się skończy. Natomiast, moim zdaniem, nie widać końca, dopóki nie wyeliminuje się wszystkich błędów, nieprzewidzianych zdarzeń, przecieków, jakie powstały przy popełnieniu pierwszej zbrodni; koryguje się je, a także dalsze, które nieuchronnie się wyłaniają, następną zbrodnią? i tak dalej... To oczywiście w przypadkach zbrodni, których sprawca wszystko wyliczył, aby ująć bezkarnie. Nie istnieją jednak plany, w których nie pozostałby margines na błahy przypadek, traf, który może odegrać fatalną rolę...

I właśnie mamy taki przypadek: gdyby mecenas Voltrano dziś z rana nie wyjawiał publicznie, że nie jest pewny, czy podczas marszu miał przez cały czas u boku Michelozziego, żyłby jeszcze.

– A zatem uważa pan, że za to, co powiedział dzisiaj rano...

– Albo za to, czego nie powiedział.

Komisarz musiał mieć w uszach niewidzialne anteny, skoro z daleka i pochłonięty, jak się zdawało, rozwiązywaniem zagadki, jakim cudem

adwokat Voltrano mógł spaść ze swego okna na stos cegieł odległy co najmniej o dziesięć metrów (jeden z policjantów stał w oknie pokoju Voltrana i opuszczał w dół uwiązany na sznurku kamień), dosłyszał ostatnie dwa zdania i krzyknął do mnie:

– Święta racja: za to, czego nie powiedzia!... I zrzucano go na dół z tarasu, widzi pan? Nie z okna jego pokoju.

– I co to znaczy? – zapytał ksiądz.

– To znaczy, mój drogi, że adwokat Voltrano wyszedł na taras; a wyszedł tam, bo miał umówione spotkanie z człowiekiem, który go zabił.

– Komisarzu, bardzo proszę zachować dla siebie i dla mnie wszelkie wywody – twardo wtrącił Scalambri.

– Proszę mi wybaczyć, panie prokuratorze, proszę mi wybaczyć, ale zaszedł ciekawy zbieg okoliczności... Pański przyjaciel postawił pewną hipotezę w tej samej chwili, gdy ja ją sprawdzałem, bo nasunęła mi się już wcześniej... Nawet prawa fizyki to jeszcze nie dowód, widzi pan? – Wskazał policjanta stojącego w oknie i trzymającego w rękę koniec sznurka, z którego zwisał kamień kołyszący się o metr nad ziemią, z dala od stosu cegieł.

– Ale pan nie wie, że mój przyjaciel pisuje powieści kryminalne – żartobliwie powiedział udobruchany już Scalambri. – Jest nie tylko wielkim malarzem, ogólnie znanym... I *à propos*, rysunek? Jak powiedział Horacy, *promissio boni viri est obligatio*... A może to nasz poeta Trilussa przypisał te słowa Horacemu, aby *Orazio* rymował mu się z *obligatio*?

– Nie pamiętam? wiesz, że ja, z łaciną...

– A ja przepadałem za nią, przepadałem. – Westchnął melancholijnie nad losem, który oderwał go od Cyclerona i Lukrecjusza i skazał na prowadzenie śledztwa w sprawie dwóch tajemniczych morderstw wśród ludzi możnych i szczywanych. – No więc co z tym rysunkiem?

– Będziesz go miał dziś wieczorem albo jutro. Sprawy wzięły przecież

taki obrót, że żaden z nas się stąd nie ruszy.

– Jesteśmy jak karawana w grzędawisku.

– Panie prokuratorze – przerwał komisarz – może i pan by zechciał przyjść na taras. Myślę, że wizja lokalna...

– Oczywiście, oczywiście – odrzekł Scalambri. I jak gdyby w przypływie wspaniałomyślności, wyjątkowej u niego i mającej mile mnie zaskoczyć: – I ty pójdziesz z nami.

Winda na ósme piętro? potem stromymi schodami weszliśmy na taras, rozległy, wyłożony glazurą, oslepiający słońcem.

W miejscu obok poręczy, z którego, w idealnie prostopadłej linii, adwokat Voltrano spadł na stos cegieł, widniały plamy krwi.

– Wyśmienicie – rzekł komisarz. Zadowolony z siebie, uradowany. Nawet zatarł ręce z radości. – A teraz musimy znaleźć przedmiot – dodał rozglądając się wokół – którym ten skurwysyn go uderzył.

– A ja myślę – powiedziałem nieśmiało – że morderca wyrzucił na dół ten przedmiot; i to natychmiast po zadaniu ciosu czy ciosów. Kiedy już miał pewność, że adwokat stracił przytomność. Nie mógł przecież trzymać tego przedmiotu w ręku, kiedy spychał adwokata z tarasu.

– Mógł odłożyć narzędzie na wypadek, gdyby adwokat się ocknął, aby posłużyć się nim powtórnie – zaproponował komisarz.

– Racja. Ale czy rzucił w dół najpierw narzędzie, a potem adwokata, czy też najpierw adwokata, a potem narzędzie...

– Powiada pan, że tak czy inaczej rzucił na dół ów przedmiot. No tak, nie zabrał go przecież do swojego pokoju. – I przeszedł od rozważań do czynu. – Lecę go szukać.

– I niech go pan szuka trochę dalej od miejsca, gdzie spadł adwokat – zawołałem, już pewny swego.

Na tarasie tonącym w słońcu, które byłoby niemiłosierne, gdyby nie łagodny wiatr, zostaliśmy, Scalambri i ja (policjant trzymał wartę przy

schodach, z dala, i zdawał się spać na stojąco, jak muły); i gdy patrzyliśmy w dół, czekając na ukazanie się komisarza, Scalambri powiedział mi konfidencyjnie, z niewinną miną:

– Widzisz: jaki był przebieg tej drugiej zbrodni, jakim przedmiotem, cegłą czy łomem, zadano cios Voltranowi, to wszystko nic a nic mnie nie obchodzi. Obchodzą mnie motywy zbrodni. I znam je. Voltrano został zamordowany, bo wiedział, kto jest zabójcą Michelozziego, i chciał go szantażować.

– Ale to wiesz od chwili, kiedy zostało dowiedzione, że spotkanie mordercy z jego drugą ofiarą odbyło się tu, na tarasie. Gdyby Voltrano napadnięto w jego pokoju, wyrzucono z okna jego pokoju, nie miałbyś tej pewności.

– Zgoda, zgoda: nie miałbym pewności. Ale podejrzenie, że adwokat wiedział więcej, niż powiedział, i chciał to wykorzystać w celu szantażowania mordercy, noszę w sobie już od rana.

– Natomiast ja dziś rano myślałem, że mówił prawdę: że nie wiedział nic ponad to, co powiedział, że nie przypominał sobie...

– Wydał ci się szczery, przejęty, prawie niepokieszony faktem, że nic więcej nie może powiedzieć, że nic więcej nie pamięta... Ale ten człowiek nie mówił słowa prawdy nawet na temat tego, co jadł na obiad, nawet na temat rozkładu jazdy. Z zasady. A skoro powiedział, co powiedział, tak umiejętnie grając komedię, że ty się dałeś nabrać, bo ja nie, na pewno musiał w tym mieć swój cel. I wiesz, co ci powiem? Bardzo możliwe, że on nie widział nic: wymyślił to swoje, takie czy inne wrażenie, udawał, że coś sobie niejasno przypomina, na podstawie kalkulacji, która natychmiast zaświtała mu w głowie, gdy wzięliśmy się do odtwarzania faktów... Dopiero co powiedziałem ci: od rana podejrzewałem, że adwokat wie. Myliłem się: adwokat nic nie wiedział. Ale od razu, kiedy się połapał, że stojąc po lewej stronie Michelozziego mógł coś zauważyć, wykombinował

sobie, że jeśli powie, iż ktoś się wcisnął między niego a Michelozziego, to ten ktoś, znając go, zrobi wszystko, by on o tym zapomniał; to znaczy wszystko, aby wynagrodzić mu milczenie pieniędzmi i zaszczytami, tak jak oni zwykli robić to między sobą. Przeoczył jednak w swojej kalkulacji, że ktoś, kto już popełnił zbrodnię, może w panice popełnić następną.

– Zdaje się, żeś ty go dobrze znał.

– Bardzo dobrze, znałem go bardzo dobrze. Dał mi się bardziej we znaki niż ci wszyscy razem wzięci. Przebiegły, perfidny i nieugięty w swoich najbardziej perfidnych zamysłach... Lis: i trafił w końcu na wilka.

– Tak więc, według ciebie, dziś z rana Voltrano mówiąc to, co powiedział, zarzucał wędkę na ślepo, nie wiedząc, kto połknie haczyk.

– Teraz jestem prawie tego pewny.

– Tymczasem rano myślałeś, że on wie, kogo złowi na wędkę... Ale wiedział, czy nie wiedział, można było mieć go na oku, dyskretnie go obserwować.

– To ten kretyn, komisarz! Mówiłem mu, że nie mam przekonania do Voltrana... Tak czy inaczej, będzie jedynie dziełem przypadku, jeśli ta druga zbrodnia zaprowadzi nas na ślad mordercy; istotą rzeczy, tym, gdzie szukać należy rozwiązania obydwu zbrodni, jest pierwsza z nich. Motyw drugiej jest jasny: szantaż. Ale ten motyw nie doprowadzi nas do winowajcy. Jeśli natomiast wykryjemy motyw pierwszej, mamy winnego w garści... Ba, ale wśród tych ludzi możesz znaleźć tysiące motywów. Tyle i tak ważkich, że to cud, iż nie rozszarpują się i nie wyrzynają na naszych oczach.

– Czyli zagadka nie do rozwiązania.

– To jeszcze nie powiedziane... Widzisz: Michelozzi miał pewną właściwość, coś, co różniło go od tych innych. Był złodziejem, i owszem, był typem, którego w innych czasach mógłbym setki razy oskarżyć o przekupstwo i sprzeniewierzenie grosza publicznego, malwersacje;

słowem, pociągnąłbym go do odpowiedzialności za te wszystkie przestępstwa, które prawo przewiduje czy wykrywa w związku z administrowaniem dobrem publicznym. Ci wszyscy posiadają kamienice, wille, wzorowe gospodarstwa rolne; mają swoje udziały w małym, średnim i wielkim przemyśle; od lat wywożą do Szwajcarii pieniądze, które można liczyć w setki milionów, w miliardy. Michelozzi nie; nie miał ani własnego domu, ani kawałka ziemi; mieszkał w pensjonacie u siostr czy braci zakonnych; mówią nawet, że rozdawał ubogim część swoich poborów... Jak to robił, że znajdował ubogich, tego nie wiem... Słowem, jego odrębność polegała na tym, że żaden z tych ludzi nie mógł go szantażować groźbą ujawnienia malwersacji i przekupstwa, a to z tego prostego powodu, że wszyscy, powiadam: wszyscy, ciągnęli zyski z popełnianych przez niego przestępstw. Zdeprawowany nie może doprowadzić do ruiny deprawatora, sam bowiem zginie z nim w gruzach.

– Zatem nie mogą uciec się do szantażu...

– Ale można było poruszyć inne sprężyny, zwrócić się o interwencję do osób wpływowych... Na przykład do don Gaetana. On urabia i kształtuje sumienia ich wszystkich, jak wosk; i gdyby don Gaetano powiedział Michelozzemu, aby postąpił tak czy inaczej, byle z korzyścią dla tego, który koniec końców, znalazłszy się w opałach, popełnił dwa morderstwa... zamiast zwrócić się do don Gaetana... Powiedziałem: zamiast... czy to możliwe, by zbrodniarz, nim zdecydował się na czyn ostateczny, tak rozpaczliwy i tak ryzykowny, nie postawił na inną kartę i nie szukał ratunku u don Gaetana?... Ach, oto mamy wreszcie punkt zaczeplenia: don Gaetano wie wszystko. Doszedłem do tego.

– I poprzestaniesz na tym.

– Oj, tak, wiem, ale muszę próbować dalej.

Na dole komisarz, o którym zapomnieliśmy na chwilę, wydawał zwycięskie okrzyki: znalazł i trzymał w uniesionej ręce (czerwonawy

przedmiot odcinający się jak korona kwiatu na tle białej serwetki) corpus delicti.

Scalambri próbował dalej. Przez blisko trzy godziny. Wyszedł z owej próby zmaltretowany, zwyciężony. Z tego, co mi opowiedział, wynikało, że don Gaetano wymykał się, wyślizgiwał z każdego pytania, emanując doktrynę chrześcijańską.

– Jak gaz – mówił Scalambri – jak gdybym otworzył kurek od gazu i siedział tam czekając, aż mnie odurzy... Hipokryta, rzezimieszek... – Ale flegmatycznie, nie miał nawet siły się zżymać. Ożywił się dopiero, gdy komisarz, na chwilę przed zejściem do refektarza, powiedział mu, że doszło do jego wiadomości, iż w hotelu przebywało do chwili śmierci Michelozziego pięć kobiet i że ulotniły się jak kamfora.

– Teraz mi pan to mówi – zganił go Scalambri.

– Teraz się dowiedziałem i teraz panu mówię.

– Powinien był pan wcześniej to wiedzieć. Natychmiast. Od razu po przyjeździe – nie ustępował Scalambri.

Komisarz rozłożył ręce, opuścił głowę na lewe ramię – jak ukrzyżowany.

– To sprawa bez znaczenia – rzekłem spiesząc na odsiecz komisarzowi. – Jestem pewny, że nie miały nic wspólnego ze zbrodniami, a z faktu, że nikt nie zauważył, jak i kiedy znikły, wyjechały tego samego wieczora, można tylko wnioskować, że don Gaetano, przejęty tym skandalem w duchu opowieści Boccaccia, po prostu stracił głowę.

– Właśnie – rzekł Scalambri ze złośliwym i mściwym uśmiechem – właśnie... – Czulo się, że byłby użył tego argumentu, aby zmusić don Gaetana do powiedzenia czegoś na temat zbrodni albo tylko żeby się zemścić. I nie mógł odmówić sobie tej satysfakcji, gdy siedliśmy do stołu. Żle się do tego zabrał: don Gaetano zorientowawszy się, że Scalambri już wie o kobietach i chce zrobić z tego użytek, natychmiast powziął środki

ostrożności i był gotów do kontraktaku.

Scalambri, niby to przez nagłą i bezinteresowną ciekawość, zaczął od pytania:

– Ale czy tu jest hotel, czy też, o ile mi wiadomo, coś w rodzaju klasztoru, schroniska?

– Jest tu hotel, który w pewnych okresach staje się, jak pan powiedział, rodzajem klasztoru.

– Ale administruje się nim jak hotelem, prawda?

– Nie wiem, co chce pan przez to powiedzieć. – Don Gaetano był już uważny, czujny.

– Chcę powiedzieć, że stosuje się tutaj te same przepisy prawne, ten sam regulamin policyjny co w hotelach prowadzonych nie przez duchownych albo zakonników.

– Nie wiem – rzekł don Gaetano.

– Ale przypuszczam, że ktoś to musi wiedzieć.

– Oczywiście. – Potrząsnął stojącym przed jego nakryciem dzwonkiem i w ciszy, która natychmiast zaległa, zawołał: – Ojcie Cilestri...

Wezwany wstał od stołu.

– Proszę, niech ojciec pozostanie na miejscu – rzekł don Gaetano – i powie panu prokuratorowi, który się tym interesuje, czy jesteśmy obowiązani do prowadzenia kartoteki naszych gości i wysyłania kopii formularzy na policję – i zwracając się do Scalambriego, ściszym głosem dodał: – bo myślę, że właśnie o to panu chodzi.

– Jesteśmy obowiązani – odpowiedział ojciec Cilestri.

– Dziękuję – powiedział don Gaetano. I do Scalambriego: – A więc jesteśmy obowiązani; wątpię jednak, czy ojciec Cilestri kiedykolwiek dopełniał tego obowiązku.

– A to dlaczego?

– Jak to dlaczego? – obruszył się minister. – Dlatego, drogi panie

prokuratorze, że jesteśmy tu zawsze swoi wśród swoich: niczym w klasztorze, jak był pan łaskaw sam to powiedzieć.

– Niczym w klasztorze, ale nie w klasztorze.

– Może nie formalnie, ale de facto: zbieramy się tutaj rokrocznie, w kilku turnusach, aby się poświęcić rozmyślaniom i modlitwie... – Minister zdawał się już nie pamiętać o dwóch morderstwach. I kto popełni teraz ten nietakt, aby przypomnieć mu o nich?

Popełnił go komisarz, który rzuciwszy okiem dokoła, skonstatował, że nikt, przez nieśmiałość czy przez tchórzostwo, nie chce się poświęcić.

– Dwie zbrodnie, ekscelencjo, dwie. – (Powiedział mi potem: „Mam to w nosie. Za dwa miesiące idę na emeryturę”).

Minister spąsował ze złości, ale opanował się.

– Panu, panie komisarzu, wolno mieć własny pogląd na tę sprawę; nie ma pan jednak żadnych podstaw, żadnego dowodu, żadnej poszlaki, aby podawać w wątpliwość mój pogląd. A jest on następujący; nikt z nas, którzy zgromadzeni jesteśmy tu, w tej sali, nie popełnił tych morderstw.

– Ma pan na myśli: nikt z obecnych? – zapytał Scalambri.

– Tak; nikt z obecnych.

– Z obecnych – celowo zawtórował Scalambri.

– Z obecnych – powtórzył minister, ale z pewnym wahaniem, jak gdyby podejrzewając pułapkę. Po czym, zaniepokojony, zwracając się do don Gaetana: – Czy może kogoś brak?

– Nikogo – odpowiedział don Gaetano z rozpaczliwą stanowczością. I przeszył Scalambriego spojrzeniem, które powoli, jak otwór w obiektywie, zwięzło się i z na pozór przygaszonego stawało się bystre i przenikliwe; i owej zmianie spojrzenia towarzyszył ruch prawej dłoni, przywodzący na myśl łapę kota, który podczas zabawy wysuwa i chowa pazury.

– Skoro nikogo nie brakuje – ciągnął dalej minister – potwierdzam moją opinię i własnoręcznie się pod nią podpisuję: mordercy nie ma

wśród nas.

Ponieważ podniósł głos, a od chwili gdy don Gaetano wywołał ojca Cilestri, wszyscy w milczeniu przysłuchiwali się temu, co się mówiło przy naszym stole, słowa ministra powitane zostały chóralnym: „Słusznie, sprawiedliwie, brawo!”, a potem frenetycznymi i długo trwającymi oklaskami. Gdy wrzawa ucichła, minister unosząc się z krzesła i wykonując ćwierć obrotu w prawo i ćwierć obrotu w lewo, powiedział:

– Bardzo mi miło stwierdzić, że podzielacie wszyscy moje zdanie.

– Czy podejrzewał pan, że ktoś jest innego zdania? – rzekł szyderczo don Gaetano. Efekt był taki, jak gdyby chlusnął na niego wiadro lodowatej wody. Ministrowi zabrakło tchu, gestykulując usiłował coś powiedzieć. Ale nie powiedział nic.

Don Gaetano, chcąc zmienić temat i niezwłocznie powrócić do rozmowy ze Scalambri, powiedział:

– Tak, obawiam się właśnie, że ojciec Cilestri zawsze zaniedbywał obowiązek przekazywania policji spisu naszych gości... Czy to poważne wykroczenie?

– U zwykłego dyrektora hotelu... bardzo poważne.

– Chce pan powiedzieć, że nie jestem zwykłym dyrektorem hotelu? Dziękuję panu.

– Powiedział to jego ekscelencja – rzekł Scalambri wskazując na ministra.

– Ja to powiedziałem mimochodem, jako moje osobiste zdanie, bez dociekania, wnikania? a przede wszystkim bez najmniejszego zamiaru mieszania się do czegokolwiek, interweniowania... Nie jestem zresztą ministrem spraw wewnętrznych ani sprawiedliwości? zajmuję się zupełnie innymi sprawami, na moje szczęście.

– Słowem, nie zamierzał pan obdarzyć nas przywilejem nietykalności – wyciągnął wniosek don Gaetano. – Teraz jednak, abstrahując od

poważnego wykroczenia, jakie popełniliśmy, jakie popełniłem, chciałbym panu wyjawić, ale w towarzyskiej rozmowie i, jeżeli pan pozwoli, po przyjacielsku, myśli, które mi się nasunęły, gdy pan postawił pierwsze pytanie *ex abrupto*? i rozumie się samo przez się, że używam tego wyrażenia, odwołując się sarkastycznie do procedury, która niegdyś wzięła odeń nazwę... Niegdyś: konwencjonalny i niezasłużony hołd dla naszych czasów, każde bowiem postępowanie, powiedzmy, sprawiedliwości odbywało się i odbywa zawsze *ex abrupto*, choćby nawet w formie złagodzonej z upływem lat... Zatem kiedy pan zadał pierwsze pytanie: czy to jest hotel, czy coś w rodzaju klasztoru (a myślę, że słuszniej byłoby zapytać, czy to jest hotel, czy siedziba bractwa), od razu pomyślałem sobie... – Tu zrobił pauzę, jak gdyby czekał, czy Scalambri wyrazi zgodę, aby mówił dalej. I aby potraktował jego słowa przyjaźnie.

– Proszę mówić – zachęcił go Scalambri. Ale z pewnym niepokojem.

– Oto co przyszło mi na myśl: jesteśmy przy stole, by łamać się tym samym chlebem i pić to samo wino; lecz on nie zapomina, że jest inkwizytorem i sędzią, jak ja nie zapominam, że jestem kapłanem... Jakie straszne są te nasze posłannictwa! Straszne i potrzebne; i powiedziałbym, że są straszne w tej mierze, w jakiej są potrzebne, i potrzebne w tej mierze, w jakiej są straszne... My, umarli, grzebiemy innych umarłych... Boże mój! – Objął rękoma głowę i, wsparty łokciami o stół, zasłonił oczy, jak gdyby chciał ujrzeć w sobie ów ogrom straszliwej konieczności.

Wywarło to pewne wrażenie. Nawet na mnie, muszę przyznać. Tylko komisarz zerkał ironicznie ku nam i ku niemu.

Gdy nieobecny duchem don Gaetano wyłonił się znowu wśród nas, opuszczając ręce dłońmi do góry, jak gdyby chciał ukazać stygmaty męki na krzyżu, z którego zstąpił, powiedział:

– Przeraza mnie to, że jestem kapłanem, ale jeszcze bardziej przerazałaby mnie rola sędziego... Słowa Chrystusa przejmują grozą:

„*Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni*”. Nie zabrania sądzić, lecz warunkuje to bezpośrednio i nieuchronnie pociągnięciem przed sąd boski. „*Czemu to widzisz drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym oku nie dostrzegasz? Obłudniku, wyrzuć najpierw belkę ze swego oka, żeby usunąć drzazgę z oka twego brata*”. I proszę zwrócić uwagę: belka w oku tego, który sądzi, drzazga w oku tego, który jest sądzony. Czy nie chciał przez to wyrazić, że tylko najgorsi sądzą, że decydują się sądzić, że mogą sądzić, na podstawie własnych win, własnej winy, lecz dopiero po wyznaniu ich i odpuszczeniu? – Scalambri czekał w męczącym skupieniu i napięciu; i by mu dać chwilę wytchnienia, jak kot myszy, don Gaetano odbiegł od tematu. – Od pierwszej chwili, gdy przeczytał czy też usłyszał ów werset, zawsze myślałem o Polifemie oślepionym przez Ulissego, o Polifemie, który wyrzywa z oka dymiącą belkę... I kto wie, czy Jezusowi nie zdarzyło się zasłyszeć o przygodzie Ulissego od jakiegoś wędrownego bazarza albo kupca... Proszę tylko pomyśleć, jak mało wiemy o życiu Jezusa; każdy z nas ma świadków swojego życia od chwili, gdy ja zostałem księdzem, pan wszedł do sądownictwa, komisarz do policji, profesor – wskazując na mnie – urządził swoją pierwszą wystawę, i tak dalej... To, że nasze życie się liczy, wynika z faktu, iż ja jestem księdzem, pan prokuratorem, komisarz komisarzem, profesor artystą malarzem; ale dzieciństwo, wiek pacholęcy, miejsca, w których żyliśmy, ludzie, wśród których upłynęło nasze dzieciństwo, chłopięce lata, młodość? I książki, które czytaliśmy, i miłości, i zawiedzione nadzieje? I możemy nawet mało cenić sobie chłopięce lata i wczesną młodość? ale o tym, jaki jest człowiek, decyduje pierwsze dziesięć lat życia; i nic o człowieku nie wiemy, jeżeli nie wiemy nic o tych jego pierwszych dziesięciu latach... Oczywiście nie można porównywać życia Jezusa z naszym życiem: w jego przypadku wystarczają nam lata piorunujące, lata potwierdzone świadectwami; mnie jednak fascynowały zawsze te jego okryte tajemnicą lata i zawsze

pobudzały moją wyobraźnię. – I do Scalambriego: – A jakie było pana dzieciństwo? Szczęśliwe, nieszczęśliwe? Myślę, że było nieszczęśliwe, szczęśliwe dzieciństwo bowiem pozostawia zazwyczaj nudę, smutek, małoduszność... – Powściągnął się od razu i tłumacząc się: – Proszę nie uważać tego za pytanie i nie odpowiadać mi. To moja słabostka: gdy ktoś zaczyna mnie interesować, zaraz wypytuję o jego dzieciństwo... Ale tu pan ma stawiać pytania, nie ja. Ja natomiast mówiłem... – Zdawał się oczekiwać, byśmy jak suflerzy z budki podszeptyli mu kwestię, o którą miał zająć dalszy ciąg swojego dyskursu. Z łatwością jednak znalazł ją sam. Istotnie: – Mówiłem o sądzeniu; o dochodzeniu i sądzeniu. I że Chrystus chciał może stwierdzić, że jedynie najgorsi mogą się podjąć tego zadania; jedynie ostatni mogą być w tym pierwsi... Tylko, na litość boską, niechaj się pan nie doszukuje w tej mojej improwizacji jakichś osobistych aluzji. Ja nic o panu nie wiem. Absolutnie nic – i powiedział to przesywając go wzrokiem, i z taką intonacją, jak gdyby wiedział wszystko. – A poza tym przytoczyłem owe określenia: *lepsi i gorsi* w znaczeniu ewangelicznym: właśnie tych pierwszych, którzy będą ostatni, ostatnich, którzy będą pierwsi. – Wyciągnął powoli rękę i złożył ją na dłoni Scalambriego. Twarz rozjaśniła mu się czułością, życzliwością. – Nie wiem nic o panu – znowu zatrzymał się na słowie *n i c*, aby oznaczało ono *w s z y s t k o* – ale serdecznie pana lubię.

Gdy Scalambri wstał od stołu, wyglądał jak nie ten sam człowiek. Nawet wsparł się ciężko na moim ramieniu, jak gdyby trudno mu było utrzymać się na nogach. A gdy podszedł komisarz i zapytał półgłosem: „Panie prokuratorze, robimy dochodzenie w sprawie tych kobiet, które przepadły? A – on, przesadnie podniesionym tonem, by usłyszeli go ci, którzy niby przypadkiem wciąż się koło nas kręcili, odrzekł nerwowo:

– A czego pan chce dochodzić? Nie rozumie pan, że te kobiety, zakładając, że rzeczywiście tu były, nie mają nic wspólnego ze zbrodnią

i że jeśli zaczniemy je ścigać, ryzykujemy, że raz na zawsze zgubimy wszelką nić?

– Jaką nić? – zapytał z głupkowatą miną komisarz. Był najwyraźniej ubawiony.

– No, nić... – półgłosem rzekł zmieszany Scalambri. – Nić pieniędzy, interesów, ich afer, szantaży: tę jedynie możliwą.

– Tylko że nie trzymamy jej w ręku – powiedział komisarz.

– Nie trzymamy, zgoda... – Głos Scalambriego histerycznie się załamał. – Nie trzymamy, zgoda; ale musimy próbować osiągnąć jej, uchwycić... Wydałem już dyspozycje: moi koledzy w różnych miejscach zasięgają informacji. Nie zasypiam gruszek w popiele, ja...

– i odciągnął mnie na bok, zostawiając komisarza. Obejrzałem się za nim. Był zadowolony; zadowolony i rozchichotany; i mrugnął do mnie, jakby chciał powiedzieć: „Skapcianał ten pański przyjaciel”. I jakby na potwierdzenie tego Scalambri mówił mi właśnie:

– Ten kretyn komisarz: chce, bym się uganiał za kobietami, które lichowie, czy tu w ogóle były.

– Były.

– Ach, naprawdę były?... Tak czy owak, one nie wchodzą w rachubę... Widzisz: sprecyzowałem sobie opinię o tych dwóch morderstwach i wydaje mi się, że już ci dziś o tym mówiłem, kiedy byliśmy na tarasie. Chcę zatem zrobić odsiew, wyłączyć wszystkie fakty i poszlaki, które koniec końców zamąciłyby sprawę i sprowadziły nas na manowce... Komisarz, nie wiem, czy w dobrej wierze, bo jest kretynem, czy z wyrachowania, bo jest przekupnym kretynem, wyjeżdża mi z historią owych kobiet, bym się potknął na tej przeszkodzie. Tymczasem ja przeskakuję ją i podążam dalej.

Jako człowiek miłosierny, nie przypomniałem mu, że przed obiadem on, a nie komisarz, tyle mówił o obecności i zniknięciu kobiet.

– Ale wydaje mi się, że don Gaetanowi ogromnie na tym zależy, aby nie mówić o tych kobietach; i trudno się dziwić, że mu tak na tym zależy... Pomyśl, co by wypisywali w gazetach, gdyby wyszło na jaw, że pięciu potentatom z tej kliki umiłały rekolekcje ich kochanki.

– Pominąwszy fakt, że żadna gazeta, powiadam ci, żadna, nie zamieściłaby wzmianki na ten temat... Jak myślisz, co by się działo? Niewielu by się zgorszyło, wielu by się ubawiło; a skończyłoby się na tym, że któraś z tych kobiet wystąpiłaby w filmie, może nawet w filmie zatytułowanym „*Rekolekcje*”; ona naga i wokół dziesiątki twarzy obłudników... Natomiast moje losy potoczyłyby się w takiej oto kolejności; śledztwo przejąłby mój szef, awansowałbym, przeniesiono by mnie. A te dwa morderstwa zostałyby opatrzone na wieczne czasy formułą „sprawcy nieznani”. Czy myślisz, że warto?

– Ty więc liczysz na to, że rozwiążesz sprawę, że znajdziesz winnego?

– Mam nadzieję, mam nadzieję... – Lecz opieszale. Po czym zmienił ton na wścibski, sarkastyczny: – A jakie są te kobiety? Ładne? Młode? I kto je sobie tu przywiózł?

– Niebrzydkie i raczej młode. W typie, który się może takim jak oni podobać: trochę obfitszych kształtów, trochę wyzywające, trochę wulgarne. Oni ściśle rozgraniczają kobiety, z którymi się żenią i płodzą potomstwo, od kobiet, z którymi grzeszą: te muszą tchnąć grzechem na pierwszy rzut oka, na pierwszy niuch... Ale czyje były te kobiety, tego nie wiem.

– Chcę wiedzieć, to przynajmniej chcę wiedzieć.

– Może się przydać – powiedziałem dwuznacznie.

– Nie przyda się, ale chcę wiedzieć. Albo mi to powie don Gaetano, albo ich będę wzywał jednego po drugim.

– Myślę, że don Gaetano powie ci, jeśli obiecasz dochować tajemnicy.

– Ja też tak myślę – rzekł Scalambri. Poklepał mnie protekcjonalnie

po ramieniu i poszedł; z pewnością na poszukiwanie don Gaetana.

Widząc mnie samego, zbliżył się do mnie minister. Znów protekcyjnalnie klepięcie po ramieniu, drugie tego wieczora.

– Mój drogi przyjacielu – powitał mnie tymi słowami, ale potrząsał głową ze smutkiem, z desperacją; jak gdyby chciał powiedzieć: „Zdajemy tu rachunek z ułomności ludzkich, zbrodni, przed władzą sądową, przed policją; nawet my dwaj, którzy nie mamy z tym nic wspólnego, my, którzy jesteśmy jednakowo i każdy na swój sposób czyści”. W jego pojęciu bowiem czysta bezużyteczność sztuki przywracała artyście czystość, jak jemu przywracało ją chrześcijańskie życie: pozostawiając nienaruszoną odmienną i wyższą jego chrześcijańskiego życia.

Powiedziałem to, co on wyraził mimiką: Straszliwe przeżycie, nie wyobrażałem sobie, wjeżdżając na drogę wiodącą do pustelni, że trafię na ten koszmar.

– A co dopiero ja! Ja, który przyjeżdżałem tu rokrocznie jako do miejsca wytchnienia, wlotu, czy mogłem się spodziewać czegoś podobnego... Dwie zbrodnie, dwaj moi najdrożsi, starzy przyjaciele zamordowani w ciągu kilku godzin. My wszyscy muśnięci podejrzeniami sędziego, dziennikarzy, opinii publicznej... Co ja mówię, muśnięci? Po prostu osaczeni podejrzeniami. Słyszał pan, co mówił komisarz przy stole? Rozumiem: zawód, deformacja zawodowa. Ale, mój Boże, trochę szacunku, trochę taktu... I nie ze względu na to, kim jest każdy z nas, co reprezentuje w życiu publicznym: tego by tylko brakowało; wobec prawa jesteśmy wszyscy równi... Ale powiedziałbym: ze względu na to miejsce, na racje, które nas tu sprowadziły: medytacja, modlitwa... – Tu doszedł do kwestii, do której zmierzał: Mam nadzieję, że pański przyjaciel, prokurator, patrzy na tę sprawę z innego punktu widzenia niż komisarz, bo właśnie należy tu mówić o punkcie widzenia; punkcie widzenia rozumowym, punkcie widzenia moralnym...

– To sfinks.

– Jak to?

– Mój przyjaciel, prokurator, to sfinks. Nie wspomina ani słówkiem, jaka jest jego opinia na temat morderstw, jakie są jego zamiary... Gdy go pytam o coś związanego z morderstwami, odpowiada mi jak wyrocznia.

– Ach, ci prawnicy, wszyscy tacy sami: to wyrocznie, wyrocznie... Ale może mi pan wierzyć: nie dlatego spełniają rolę wyroczni, że wiedzą i nie chcą powiedzieć; przepowiadają tak samo, jak od wieków przepowiadają zawodowi wróżbici.

– Może jednak Scalambri coś wie, trzyma jakąś nić.

– Myśli pan? – rzekł minister usiłując przybrać wyraz ironicznego niedowierzania.

– Tak, wydaje mi się, że ma coś w ręku: jakąś poszlakę, jakąś informację...

– Jaką poszlakę, jakąś informację... – powtórzył jak echo minister, od razu zrzucając maskę ironicznego niedowierzania. – A jaka to może być poszlaka, jaka informacja?

– Nie znając ofiar, nie wiedząc nic o ich działalności, o ich charakterze, o ich intrygach, nie potrafię rozszyfrować proctw Scalambriego.

– Na przykład? – Z nadzieją, że je zapamiętałem.

– Na przykład niedawno, gdy mówiliśmy o zbrodniach, powiedział: „Nikt nie zasługuje, aby go chwalono za dobroć, o ile nie ma siły, aby być złym”.

– „Nikt nie zasługuje, aby go chwalono za dobroć, o ile nie ma siły, aby być złym”. Dosłownie tak powiedział?

– Dosłownie. – Iw myśli skończyłem cytata: „Wszelka inna dobroć jest najczęściej gnuśnością lub niemocą woli”.

– Przypomina to sentencje moralne, jakie znajdowało się niegdyś na papierkach od czekoladek...” Nikt nie zasługuje, aby go chwalono za

dobroć, o ile nie ma siły, aby być złym”... Ale powiedziałbym, że jest to idiotyczna maksyma: kto się waży być zły, jest zły. – I załatwiwszy się prędko z François de La Rochefoucauldem, minister zaczął sobie łamać głowę, jaki sens może mieć ta idiotyczna maksyma w związku z trapiącą go sprawą: – Może miał na myśli tego biedaka Michelozziego, który był dobry z natury... Ale jaki ma to związek? Na pewno nie zamordowali go za jego dobroć. Skoro wszyscy mówią, że to był dobry człowiek, a mówię to i ja, bo żyliśmy z sobą blisko przez niemal pół wieku, ten, kto go zabił, chciał położyć kres niebezpieczeństwu, jakie przedstawiał dla niego Michelozzi: nie ma innego wytłumaczenia.

– A więc nie myśli pan już, że go zamordowano przypadkiem?

– Przypadkiem? Jak mógłbym tak myśleć, po drugiej zbrodni?

– Ale skoro pan wyłącza możliwość, że te zbrodnie popełnił jeden z was...

– Nie jesteśmy tu sami. Chyba ze dwadzieścia, trzydzieści osób dochodzi co dzień do hotelu, a w dodatku są to ludzie, których prawie się nie zauważa; przez sam fakt, że muszą być tam, gdzie są, i robić to, co muszą, stają się jak gdyby niewidzialni.

Pomyślałem o lęku kucharza i o tym, jak był uzasadniony.

– Ale kelner, kuchcik, jedna z tych siostrzyczek czy dzieci Marii, które pomagają podawać do stołu, jaki by mogli mieć powód, żeby zabić Michelozziego, a potem Voltrana?

– Czy nie słyszał pan nigdy o najemnych mordercach, o tak zwanych *killers*? Rzeczywistość, drogi panie, jest na ogół mniej skomplikowana, niż wygląda na oko, niż my ją sobie przedstawiamy. – Ponownie poklepał mnie po ramieniu, tym razem z politowaniem. I odszedł do grupki swoich, na pewno aby ich zapoznać z maksymą La Rochefoucauld, którą ja żartem przypisałem Scalambriemu.

Gdy wróciłem do hotelu, Scalambri właśnie wychodził z kancelarii

don Gaetana. Był zadowolony, radował się w duchu tajemnicą, którą wyjawiał mu zapewne don Gaetano. Był tak uradowany, że przeszedł tuż obok nie dostrzegając mnie. Skierowałem się prosto do kancelarii don Gaetana, zapukałem, otworzyłem drzwi.

Don Gaetano siedział przy biurku. Podniósł oczy znad papierów, mówiąc: „Proszę!”¹ Oczy i okulary: albowiem gdy tak spoglądała prosto przed siebie, oczy jego znajdowały się powyżej umieszczonych w połowie nosa binokli, które zdawały się posiadać swoje własne spojrzenie, mniej chłodne i nieprzeniknione. Ciekawe zjawisko, wywołane załamaniem się różnokolorowego światła lampy o kształcie kielicha z grubego szkła, z tych, jakie na początku tego stulecia sprowadzano z Nancy i Wiednia i jakie, tylko stokroć brzydsze, wyrabia się dziś wszędzie. Prążkowane zielenią, żółcią i błękitem, a głównie fioletem, światło połyskliwie migotało w binoklach, natomiast oczy don Gaetana były matowe.

Kto będzie czytał ten rękopis albo – o ile będzie wydrukowany – tę książkę, postawi sobie w tym miejscu pytanie, dlaczego nie napisałem dotąd więcej o binoklach don Gaetana. A więc nie napisałem o nich więcej wcale nie dlatego, że nie zrobiły na mnie wrażenia, gdy ujrzałem po raz pierwszy, jak dobywał je z zanadru. Być może zrobiły na mnie wtedy mniejsze wrażenie niż później, gdy często powracały mi na myśl i gdy stale je u niego widywałem. Tak, na pewno: niepokój, jaki wzbudziły we mnie owe okulary, uświadomiłem sobie w momencie, kiedy w moim pokoju bezwiednie zacząłem je rysować. Wiele razy na tym samym arkuszu; tak więc powstało z tego pole binokli, jak melonów: dużych, małych, lekko zaznaczonych, ze szklami, bez szkieł; a niektóre z pozbawionymi wejrzenia oczyma don Gaetana. Dziwaczny rysunek, niepodobny do tych, które zazwyczaj robię; i kto zobaczyłby go nie znając tych stron, pomyślałby może, że powstał na marginesie lektury Spinozy, który wyrabiał okulary tego rodzaju; albo że rysowałem to pod wrażeniem

okularów don Antonia de Solis na portrecie, który zdobi kartę tytułową szesnastowiecznego wydania jego „*Historia de la conquista de Mexico*”; albo że robiłem szkice do ilustracji wierszy arabsko-sycylijskiego poety o szklach. I oto w tej chwili, gdy piszę, fakt przypominania sobie tych obrazów (obrazów malowanych i obrazów słownych) zdumiewa mnie i pomnaża mój niepokój. Jakim cudem widzę tak wyraźnie Spinozę w jego warsztacie optyka, wieczorne cienie, szkła optyczne jak małe jeziora w pejzażu rękopisów, w gąszczu pisanych słów (ta szesnastowieczna kaligrafia wygląda jak stargana wichrem, gęsto ubita); dlatego tak wyraźnie przypominam sobie portret don Antonia i wiersze Ibn Hamdisa? Czy w szklach optycznych, w okularach jest coś, co wywołuje we mnie dalekie, nieokreślone uczucie zdumienia i zarazem niepokoju? Czy jest to coś, co ma związek z prawdą i lękiem przed jej odkryciem? (I myślę też o opowiadaniu Anny Marii Ortese, zatytułowanym właśnie „*Okulary*”: o dziewczynce mającej bardzo słaby wzrok, której dają w końcu okulary; i nędza załłka neapolitańskiego, w którym żyje, ukazuje się jej zniecka, wywołuje zawrót głowy i torsje).

A więc okulary don Gaetana; i niepokój, jaki wzniecały we mnie. Czy to był przypadek, że miał podobne binokle jak diabeł, czy też naumyślnie sobie takie sprawił? Kilkakrotnie korciło mnie, by go o to zapytać, ale zawsze opierałem się tej pokusie.

Oparłem się jej także tego wieczoru, siedząc naprzeciw niego, po drugiej stronie biurka, na miejscu, które mi wskazał.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam księdzu – powiedziałem.

– Nikt mi nie przeszkadza, nigdy. – Przez dłuższy czas śledził mnie bacznie, udając jak zawsze, że mnie nie widzi, po czym zapytał: – Ma pan jakieś kłopoty? A może chce pan nas opuścić?

– Myślę, że nie mógłbym wyjechać; a poza tym jestem ciekaw, jak to się skończy.

– Nie skończy się. Pańska ciekawość nie zostanie zaspokojona... Czy coś pana trapi? Mam na myśli coś, co chciałby pan wiedzieć, albo coś, z czego chciałby pan mi się zwierzyć? W tej chwili wszyscy tu obecni chcą się czegoś ode mnie dowiedzieć albo z czegoś mi się zwierzyć.

– Tak, ja również chciałbym księdza o coś zapytać...

– No, proszę. Może pan pytać. – I podsunął binokle do poziomu oczu. Ostentacyjnie zaznaczając, że nie chce lepiej mnie widzieć.

– Dziś wieczorem, przy stole, śmignęła wypuszczona przez księdza strzała, nie wiem dokładnie, w jakim momencie, ale widziałem ją jeszcze drgającą, wbitą w bok Scalambriego.

– Piękny obraz, bardzo literacki. – Uśmiechnął się zagadkowo, może z zadowolenia. – Strzała, bok: doprawdy piękny obraz... I nie wątpię, że widział ją pan utkwioną w boku Scalambriego i jeszcze drgającą. Przyjmijmy, że i ja ją widziałem. Tyle tylko, że jej nie wypuściłem.

– Czy chce ksiądz przez to powiedzieć, że wystrzelił ich większą ilość i nie wie, która trafiła do celu?

Nic nie odpowiedział.

– Biedny Scalambri – odezwałem się po chwili, nie wiedząc, jak zahaczyć don Gaetana, który wyraźnie czekał, żebym mówił dalej albo żebym sobie poszedł.

– Biedny: oto słowo zawsze nieestosownie używane.

– Nie wydaje mi się, bym użył go niewłaściwie, mówiąc po chrześcijańsku. Widziałem go przez chwilę nagiego i zranionego; a zatem, przez chwilę, biednego. Odziewać nagich, nawiedzać chorych... Czy źle zapamiętałem?

– Mówiąc po chrześcijańsku... Pan więc mówi po chrześcijańsku.

– Jestem adwokatem diabła.

– Interesująca rola: wziąłem ją raz na siebie. W procesie beatyfikacyjnym. Też pocieszne... W każdym razie dobrze pan zapamiętał:

odziewać nagich, nawiedzać chorych... Ale pięć minut temu Scalambri siedział na tym miejscu, gdzie pan teraz siedzi: nienagannie odziany i tryskający zdrowiem... Szantażował mnie.

– Czyżby? – powiedziałem udając niedowierzanie.

– Proszę nie udawać, że pan nie wie, a jeżeli pan nie wie, proszę nie udawać, że pan nie rozumie.

– Ma ksiądz rację. Ale czy to był zwykły szantaż?

– Niezupełnie. Tylko, zapewniając mnie, że będzie milczał w sprawie kobiet, chciał w zamian, żebym ja przestał milczeć; na zasadzie: uprzejmość za uprzejmość, jeśli już nie na znak wdzięczności.

– A ksiądz?

– Okazałem się wdzięczny.

– A zatem więcej niż uprzejmy.

– Tych pięciu nazwisk mógłby się dowiedzieć od każdego tutaj. Uraczyłem go ponadto pięcioma opowiadkami. Pański przyjaciel rozkoszował się nimi. Był jak pies, któremu rzucono wreszcie kość do ogryzania: parskął z zadowolenia, z uciechy.

– To nie jest mój przyjaciel. Gdybym się z nim przyjaźnił, nie mógłbym podzielać pogardy księdza.

– Ach, pan nim gardzi? Ja nie. To nie pogarda z mojej strony. Pański przyjaciel (przepraszam: pan prokurator) nie budzi we mnie żadnego uczucia, tak samo jak któreś z kółek czy któraś ze sprężyn tego zegara. – Wskazał stojący na stole zegar.

– Ale zegar budzi w księdzu jakieś uczucia.

– Nie powiedziałbym. Chyba że można nazwać uczuciem złość, kiedy chcę zobaczyć, która godzina, i widzę, że stanął.

– Wprost przeciwnie, niż gdyby ksiądz miał do czynienia ze Scalambrim: chcąc sprawdzić, czy stoi w miejscu, zobaczyłby ksiądz, że idzie. Chcę przez to powiedzieć, że idzie śladem sprawcy tych dwóch

zbrodni.

– Powtarza pan to, co mi pan powiedział wczoraj: że powinienem pomóc Scalambriemu w rozwiązywaniu tego problemu. Ale to problem Scalambriego, nie mój.

– Urzędowo tak, ale tylko urzędowo. Gdybyśmy tu byli odcięci od świata, poza zasięgiem wszelkiej jurysdykcji, czy nie uważa ksiądz, że bylibyśmy zmuszeni sami ustanowić w naszym gronie prawo, które reprezentuje Scalambri, i ścigać winnego?

– Mogłoby też być odwrotnie: że wszyscy staliby się, jeden wobec drugiego, winni. I w istocie to, co pan nazywa ustanowieniem prawa, prowadzi jedynie do tego, że wszyscy stają się winni. Ale skończmy już z tą rozmową, która zaprowadziłaby nas za daleko. Nie jesteśmy odcięci od świata, nie znajdujemy się poza zasięgiem wszelkiej jurysdykcji: jest pański przyjaciel Scalambri, ma władzę i wszystkie środki po temu, by rozwikłać zagadkę... I tym razem nie proszę o wybaczenie, że go nazwałem pańskim przyjacielem: bo czy pan nim gardzi, czy nie, stoi pan po jego stronie, nie może pan nie stać po jego stronie.

– Tak, nie mogę nie stać po jego stronie. Tymczasem ksiądz...

– Nie stoję po żadnej stronie. Czekam, by wszystko się spełniło.

– Czyli, by wszystko się nie spełniło.

– Z pańskiego punktu widzenia, tak: by wszystko się nie spełniło. Ale z mojego... Pamięta pan Ewangelię świętego Łukasza? Czytała ją pan kiedy?... „Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jak bardzo pragnę, żeby on już zapłonął. Chrzcist mam przyjąć i jaką czuję udrękę, aż się to stanie”.

– Na jaki chrzcist ksiądz czeka?

– Cierpienia, śmierci; nie ma innego.

– Ale, w oczekiwaniu na ów chrzcist, po co to wszystko? Po co księdzu ten hotel, prowadzenie go, zarządzanie i zajmowanie się tyłoma innymi sprawami? Po co przyjaciołom księdza sprawowanie władzy,

komenderowanie; z błogosławieństwem księdza, jeżeli nie wręcz z jego poruczenia?

– Tym razem ja wyrażam sprzeciw; to nie są moi przyjaciele. Lecz oni również są ogniem, który płonie. I chociaż nimi gardzę, zarazem ich miłuję: „i jak bardzo pragnę, żeby on już zapłonął”.

– Trzeba więc niszczyć.

– Nie ma innego wyjścia, nie ma innej drogi. Niszczyć, niszczyć. Naszym największym błędem, największym błędem popełnionym przez tych, którzy rządzą albo łudzili się, że rządzą Kościołem Chrystusowym, było to, że zidentyfikowali się w pewnej chwili z pewnego rodzaju społecznością, z pewnego rodzaju zakonem. Błąd ów przetrwał do dziś, chociaż wielu zaczyna sobie uświadamiać, że to jest błąd. W przybliżeniu wyjaśnię to panu tak: osiemnasty wiek odebrał nam zmysły, dwudziesty je nam przywróci. Ale co ja mówię; przywróci? To będzie nareszcie zwycięstwo, triumf.

– Koniec.

– Z pańskiego punktu widzenia, tak; koniec. Ale to będzie epoka, a przynajmniej początek epoki najbardziej chrześcijańskiej, jaką przeżyje świat. Wszystko współdziała, wszystko nam pomaga; nawet to wszystko, co ci z nas, którzy utracili zmysły i jeszcze ich nie odzyskali, uważali i uważają za wrogie... Pomaga nam wiedza, pomaga dobrobyt; tak jak nadal, rozumie się, pomaga nam ciemnota i głód... Proszę pomyśleć: nauka... Jak zaciekle zwalczyliśmy ją! I w końcu, czy bada ona komórki, atom, czy gwiazdziste niebo, czy poznaje ich tajemnice, czy rozbija atom, czy powoduje wybuch... co robi? Pomnaża jedynie przerażenie, jakie Pascal odczuwał wobec wszechświata.

– Nie wydaje mi się, aby współczesnego człowieka przesładował lęk przed kosmosem. Przeciwnie.

– Jest tak pochłonięty przesuwaniami granic, jak po wygranej wojnie,

kóra nie stała się dla niego przestrogą; ale są już szczeliny, przez które się wciśnie lęk. I lęk przed kosmosem będzie niczym wobec lęku, jaki człowiek zacznie odczuwać przed sobą i przed innymi... Pamięta pan? „I sprzeciwiam mu się ciągle, aż pojmie, że jest monstrum niepojętym”; a ponieważ dziś, jak nigdy dotąd, Bóg się nam sprzeciwia...

– My uciekamy od Boga.

– Nie można uciec od Boga; to niemożliwe. Ucieczka od Boga jest marszem ku Bogu. – I powiedział to z akcentem rozpaczony lub tak mi się wydało: bo gdy zdjął w tym momencie binokle i przykniął oczy jakby ze zmęczenia, było w wyrazie jego twarzy coś kruchego i dalekiego, co przywiodło mi na myśl człowieka, który się zestarzał w więzieniu i pamiętał, że raz próbował ucieczki.

Wciąż z przykniętymi oczyma (albo on czytał w moich myślach, albo ja odgadywałem jego myśli) powiedział:

– Ucieczka... – Otworzył oczy i pochylił się ku mnie przez biurko. – Powiadano, że racjonalizm Woltera ma w sobie podłoże teologiczne ponad miarę człowieka, podobnie jak racjonalizm Pascala. Ja powiedziałbym również, że naiwność Kandyda jest równie doniosła jak przerażenie Pascala, jeżeli to po prostu nie jest jedno i to samo. Tyle że Kandyd znalazł w końcu własny ogródek do uprawy... *II faut cultiver notre jardin...* Niemożliwe: nastąpiło wielkie i ostateczne wywłaszczenie. I można dziś chyba napisać na nowo wszystkie książki; a nawet nie robi się nic innego, otwierając je podrabianymi kluczami, wytrychami. Wszystkie książki. Oprócz „*Kandyda*”.

– Ale można czytać.

Wykonał niedbały gest.

– Niech pan czyta „*Kandyda*”. – I żywo: – Co więcej, musi go pan przeczytać, aby sobie zdać sprawę, że jest pan sam i nie ma dla pana ratunku. – I łagodniej: – Ale dlaczego chce pan zdławić w sobie to

wszystko, co przybliży pana do nas? Dlaczego sprzeciwia się pan samemu sobie?

– Dlatego że ksiądz mi się sprzeciwia, dlatego że mi ksiądz opacznie ukazuje swojego Boga. Nie jestem monstrum niepojętym.

Wstałem. Przynajmniej raz chciałem odejść pierwszy.

– Dobranoc – powiedziałem. Nie odpowiedział.

Z kancelarii don Gaetana poszedłem prosto do mojego pokoju: nie zabrało mi to dużo czasu, tyle, ile potrzeba na przejście korytarza, ściągnięcie windy, wjechanie na górę, przejście dwóch boków kwadratu, jaki tworzyły korytarze na każdym piętrze, otwarcie drzwi, zapalenie światła, wejście do pokoju. Opisuję tę całą drogę, jak ją pamiętam, i chyba pamięć mnie nie myli. Mogło się jednak zdarzyć, że w roztargnieniu, nie zdając sobie z tego sprawy, czekałem na windę dłużej, niż mi się wydawało: trudno bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, że na stoliku, wyraźnie widoczna na arkuszach rysunków, leżała książka w czarnej oprawie, w tej surowej oprawie bez ornamentów, którą Francuzi nazywają jansenistyczną. Nie miała napisu ani na okładce, ani na grzbiecie, ale zanim ją otworzyłem, już wiedziałem, że są to „*Myśli*” Pascala.

Fakt, że don Gaetano zdążył przysłać tę książkę do mego pokoju, zanim ja się tu znalazłem, można było wytłumaczyć jedynie bliżej nieokreśloną stratą czasu, która nie dotarła do mojej świadomości. Albo że kazał mi ją przynieść wcześniej: a było to wyjaśnienie jeszcze bardziej niepokojące.

Otworzyłem ją na karcie tytułowej, a później tam, gdzie była założona czarną tasiemką. Mój wzrok padł na prawą stronę, która zaczynała się od numeru 460, numeru myśli, nie strony (i przez chwilę myślałem o ponumerowanych myślach i o tym, czy w ogóle wszystkie myśli, każdego i wszystkich, napisane, wypowiedziane lub tylko pomyślane, nie są wyliczeniami i liczbami połączonymi, przyswojonymi i obliczonymi przez

gigantyczną i niewidzialną maszynę). Przeczytałem numer 460: „*Skoro człowiek stracił prawdziwą naturę, wszystko staje się jego naturą, tak samo skoro prawdziwe dobro stracił, wszystko staje się jego dobrem*”. Potem dalsze, do numeru 477.

Czy zakładka znalazła się przypadkiem w tym miejscu, czy don Gaetano włożył ją tam z myślą o mnie?

Nie chciałem się nad tym zastanawiać ani czytać dalej. Zamknąłem książkę i odłożyłem ją na bok. I zacząłem rysować. Ponieważ był to rysunek, który miałem dać w prezencie Scalambriemu, robiłem akt kobiecy najbardziej nieprzystojny i odrażający, na jaki było mnie stać: znając, jak mi się wydawało, Scalambriego chciałem mu ułatwić pozbycie się go drogą sprzedaży; uzyskana za moje dzieło kwota każe mu niewątpliwie jeszcze wyżej mnie cenić i jeszcze bardziej mi zazdrościć.

Rysowanie, po ustaleniu tematu czy przedmiotu, jest dla mnie obecną czynnością tak automatyczną, że ręka i oczy zdają się oddalać i odłączać ode mnie, uchodząc gdzieś w dal i uwalniając mnie jakby od ciężaru, od zbytecznego balastu. Myślę o wszystkim, tylko nie o rysunku, i podczas rysowania moje myśli stają się precyzyjniejsze i jaśniejsze, słowem, bardziej spoiste, a pamięć niczym nie zmacona i żywsza. Tak więc rysując akt dla Scalambriego rozwinąłem hipotezę, która mi się nasunęła po pierwszej zbrodni; chcę powiedzieć, że rozwinąłem ją tak, jak robił to kawaler Carlo Augusto Dupin w opowiadaniach Poego. Podczas gdy oczy i ręka błędziły po arkuszu, myśl moja błędziła po terenie przed hotelem, półkolu głębokości około stu metrów, na skraju lasu. Widziałem tam każdy kamień, każdą rozpadlinę, każde drzewo: jak gdybym wyglądał przez okno mojego pokoju, i to w biały dzień. Ale nie chcę na razie mówić więcej. Skończyłem rysować, gdy wydało mi się, że rozwiązałem zagadkę. Rysunek bardzo wypracowany, jędrny, z kilkoma grubymi krechami; rozwiązanie zagadki proste, niemal oczywiste: bardzo podobne

do rozwiązania w „*Skradzionym liście*” Poeego. I odkładając weryfikację do jutra, położyłem się do łóżka i prawie natychmiast zasnąłem.

Nazajutrz pierwszą osobą, jaką spotkałem, był komisarz. Siedział w hallu, w fotelu, przeglądając gazety. Ironicznie, z uszczypliwą przymówką, obwieścił mi:

– Mamy już nic.

– I jaka to nic?

– Ta, której szukał prokurator. Co ja mówię: nic? Tysiące nici, całe motki... O, taki plik – wskazał, że jest grubości od ziemi do jego kolana – fotokopii czeków. Wszystkie wystawione przez Michelozziego, z funduszów specjalnych czy tajnych, którymi dysponował... Prokurator oszaleje na ich widok. – Iz błogością rozsmakowywał się w tej myśli, że prokurator oszaleje.

– Ale czy są wśród nich czeki wystawione na kogoś z tych, co są tutaj?

– Na kogoś? Na wszystkich! Nie ma takiego, który by nie miał swojej doli.

– A więc?

– A więc ze wszystkich tych czeków mogą wyniknąć setki procesów o malwersacje, szantaż, sprzeniewierzenie grosza publicznego; albo jeden gigantyczny proces. Ale proces o zabójstwo... nigdy.

– I ja tak myślę.

– Natomiast prokurator jest przekonany, że klucz do pierwszej zbrodni, a zatem również do drugiej, znajdzie właśnie wśród tych czeków... Jego koncepcja nie jest zupełną mrzonką, lecz trudności z udokumentowaniem jej są takie, że staje się mrzonką... On rozumuje tak: Michelozzi dawał tym tutaj pieniądze nie po to, żeby się uganiali za kobietami czy wypuszczali się do Szwajcarii lokować tam kapitały; dawał je na ich partię, na frakcje w partii, na sekcje, na klientelę, na poszczególnych klientów; tymczasem ktoś zachapał swoją dolę dla siebie: nie większą czy mniejszą kwotę, jak

to jest w zwyczaju, ale wszystko; Michelozzi, wiedząc lub podejrzewając, o kogo chodzi, musiał mu grozić...

– Czym grozić? Nie mógł go zadenuncjować.

– Mógł zagrozić, że mu więcej nie da.

– To znalazłby gdzie indziej.

– Ja mówię to samo... W każdym razie w koncepcji prokuratora jest coś godnego uwagi, o ile przesuniemy ją na inny teren... Ja mówię tak: a jeśli Michelozzi zorientował się, że pieniądze, które przekazywał jednemu z nich, służyły finansowaniu sabotażu, zbrodni? Albo: jeśli finansował to świadomie i chciał się wycofać, skończyć z grą, która stała się zbyt niebezpieczna?

– W ten sposób hipoteza staje się logiczniejsza, ale zatrzymajmy się przy pierwszym pańskim pytaniu, bo mówią, że Michelozzi kochał bliźniego swego jak siebie samego.

Wybacz pan, ale pan nie wie, do czego są zdolni ludzie, którzy świata nie widzą poza domem i kościołem, ludzie z książką do nabożeństwa, ludzie, którzy powiadają, że kochają bliźniego swego jak siebie samego... Za dwa miesiące, i nie mogę się już doczekać, dobiję do trzydziestu lat służby w policji; otóż zbrodnie najbardziej okrutne, najbardziej przemyślane, najtrudniejsze do wykrycia, a także te najbardziej szalone i najłatwiejsze, popełniali mężczyźni i kobiety, którzy mieli kolana, o, takie – nakreślił rękami coś na kształt bochenka – od klęczenia przed ołtarzem i kratą konfesjonału... Czasem, rozumie się, z pobudek seksualnych; ale większość, proszę mi wierzyć, dla pieniędzy: i prawie zawsze dla pieniędzy dziedziczonych po najbliższych. – Wstał. – Idę zobaczyć, jaką nić udało się wyciągnąć z motka prokuratorowi... Chce pan, żebym panu zostawił gazety?

– Nie, dziękuję; pójde się trochę przespacerować po lesie.

I poszedłem tam, ale na poszukiwania, które, trzeba to zaznaczyć,

zaplanowałem sobie wczorajszego wieczora.

Spotkaliśmy się wszyscy w refektarzu na obiedzie. Trudno powiedzieć, aby don Gaetano był wesoły, bo może nigdy w życiu nie był wesoły, ale wyraźnie ożywiony, jak gdyby miał spłacać figla jednemu z nas lub nam wszystkim i nie mógł się doczekać tej chwili. Scalambri, zmordowany, z zaczerwienionymi oczyma, nie wykazywał większej ochoty do rozmowy. Rano posłałem mu do pokoju rysunek. Podziękował mi sucho: na pewno mu się nie spodobał. Komisarz przypatrywał mu się na wpół szyderczym, na wpół współczującym wzrokiem i raz po raz spoglądał na mnie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Proszę popatrzeć, jak mu dojadło rozwijanie tego kłębka, który nie ma ani początku, ani końca”. Minister był raczej ponury: wśród czeków Michelozziego, jak się później dowiedziałem, Scalambri znalazł jeden, wystawiony na niego; i prosił go o wyjaśnienie. Jeszcze posepniejszy był inny współbiesiadnik, prezes banku, na który Michelozzi wystawiał czeki: Scalambri odbył z nim kilkugodzinną rozmowę nie zyskując nic prócz nienawiści, którą zapałał do niego prezes.

Don Gaetano nawiązał do podziękowania, które mi złożył Scalambri za rysunek.

– Co przedstawia – zapytał Scalambriego – rysunek, który pan dostał?

– Akt, akt kobiecy.

– A – odrzekł don Gaetano. Jak gdyby miał na myśli: „I co więcej?”.

– Szpetny akt – powiedziałem, niejako na usprawiedliwienie.

– A! – Tym razem jak gdyby chciał powiedzieć: „To już lepiej”.

– Ale bardzo dobrze narysowany – oświadczył grzecznie Scalambri.

– Na pewno: czy profesor, w tym wieku, przy tym doświadczeniu, z taką renomą mógłby coś źle narysować? Musi rysować świetnie zawsze i niezależnie od tego, co rysuje – rzekł don Gaetano. I do mnie: – Jak już chyba tłumaczyłem się przed panem, znam mało pańskich prac i przeważnie w reprodukcjach. Ale już z tego, co widziałem... I ciekaw

jestem jednego: czy malował pan kiedyś albo rysował coś, co ma związek z naszą religią? Chrystusa, Madonnę, któregoś ze świętych; albo, czy ja wiem?... jakieś obrzędy, jakiś kościół...?

– Magdalenę, przed paru laty.

– No oczywiście, Magdalenę... A jak ją pan przedstawił?

– Przedstawiłem ją...

– Nie, chwileczkę; niech mi pan pozwole zgadnąć... Przedstawił ją pan jako wyranżerowaną prostytutkę: starą, zdeformowaną, uszminkowaną w sposób groteskowy i budzący politowanie.

– Zgadł ksiądz. – Szorstko.

– Cieszę się, oznacza to, że stopniowo zaczynam pojmować pana.

– I jak gdyby moja zdecydowana odpowiedź na pierwsze pytanie upoważniała go do kontynuowania egzaminu: – Czy nie kusiłaby pana idea wymalowania tutaj, dla nas, dla naszej kaplicy, Chrystusa? Proszę zwrócić uwagę, że użyłem czasownika *ku si ć*.

– Nie kusi mnie – odrzekłem twardo. Ale widząc, że don Gaetano jest zadowolony z tej mojej hardej postawy, jak z pozytywnej reakcji, potrąciłem inną strunę: – Po Redonie, po Rouault’cie... Nie, nie kusi mnie.

– Ma pan rację – rzekł don Gaetano. Ale wiedząc chyba, że to przyznanie mi racji rozdrażni mnie: – Po Redonie, po Rouault’cie... Jeżeli nie sięgniemy w odleglejsze czasy: do Grünewalda, Giovanniego Belliniego, Antonella... Dla mnie jednym z najbardziej niepokojących wizerunków Chrystusa jest Chrystus Antonella, który znajduje się dziś, wydaje mi się, w muzeum w Piacenzy: ta maska tępego bólu... Straszne... Ale w naszych czasach, tak, bez wątplenia: Redon i Rouault... Najwyższe osiągnięcie, „*Miserere*” Rouaulta, to pasja stanowiąca nie zamknięcie, ale zwiastowanie... Chcę powiedzieć, że ktoś mógłby sądzić, iż z Rouaultem zamyka się historia pasji, powiedzmy: chrystologicznej ludzkości, że jest

to ostatni głos, ostatnie tchnienie; a tymczasem otwiera się i utwierdza na nowo... Ale Redon... Otóż Redon jest nie mniej niepokojący od Antonella, ale w innym sensie... I mówię oczywiście o Chrystusie, którego ukazuje nam w trzecim cyklu swojego „*Kuszenia świętego Antoniego*”... Odnosi się wrażenie, olbrzymie, wstrząsające, że tylko przez objawienie, wizję, Redon mógł narysować twarz Chrystusa tak, jak ją narysował; to znaczy, że Chrystus naprawdę miał taką twarz i jedynie raz, na przestrzeni wieków, ukazał ją Redonowi... Nie apostołom, nie ewangelistom: chcąc najwidoczniej, by oni nie pamiętali jego twarzy. Redonowi... Ręce – świętej Teresie z Avila; twarz – Redonowi. Dlaczego?... Pytam o to pana, bo na pewno wie pan o Redonie więcej niż ja.

– Nie wiem... Może dlatego, że Redon nie chciał nigdy patrzeć na to, co jest nagie.

– Na to, co nagie?

– Mówił: *Je ne regarde jamais ce qui est nu.*

– Bo przenikał nagość jak promienie X.

Dziwna rzecz, zawsze odnosiłem to samo wrażenie, które sprecyzował don Gaetano, na widok Chrystusa Redona. Ale powiedziałem:

– To, co ksiądz mówi, może być jedynie oparte na fakcie dość błahym, mającym źródło raczej w próżności niż w mistycznej inspiracji: Redon chciał po prostu zrobić innego Chrystusa.

– Ale aż tak innego i tak wstrząsającego... A więc nie chce pan, czy nie czuje się pan na siłach dać nam swego wizerunku Chrystusa?

– Nie czuję się na siłach, ale chcę.

– A, chce pan... Doskonale. Zobaczymy. – I jak gdyby dopiero teraz zauważył, że innych nudzi ta rozmowa, zmienił temat. – Widzę, że jest pan zmęczony, panie prokuratorze.

– Oj, tak – westchnął Scalambri.

– A pan wypoczęty, panie komisarzu. – Złośliwie.

– Właśnie – wtrącił cierpko Scalambri.

– Nie mogę wyciągnąć z tego wniosku, że pan – do Scalambriego – robi z mozołem to, co komisarz robi z radością? ale komisarz...

– Komisarz – rzekł komisarz – za dwa miesiące odchodzi: oto wyjaśnienie jego radości.

– Odchodzi?

– Z policji. Na emeryturę. Na wieś.

– Szczęściarz z pana – pogratulował mu minister.

– Czy dlatego, że odchodzi z policji? – zapytał ministra don Gaetano uśmiechając się ironicznie.

– Skądże znowu, nigdy bym sobie nie pozwolił... mam tyle szacunku, tyle podziwu dla naszej policji... Dlatego, że będzie mieszkał na wsi.

– Jest to szczęście łatwo osiągalne, zwłaszcza dla pana, dla pana prezesa... – Prezes wzdrygnął się lekko. – Komisarz musi czekać jeszcze dwa miesiące, tymczasem wy, panowie, możecie to zrobić natychmiast.

Minister i prezes sposepniali jeszcze bardziej. Myśleli zapewne, że don Gaetano zrobił aluzję do czeków, które Scalambri miał w ręku i z powodu których może będą musieli podać się do dymisji. A może rzeczywiście don Gaetano miał to na myśli. Powiedzieli obaj jednocześnie:

– Gdyby to było możliwe!

– Tak trudno się wyrwać? Trzymają panów siłą? – zapytał udając dobrodusznego zdziwienie don Gaetano.

– Mój Boże, nie aż siłą – odrzekł minister. – Ale odejść na pewno nie jest łatwo. – Prezes przytaknęła skwapliwie.

– Zwłaszcza teraz – rzekł dwuznacznie don Gaetano. Chciał powiedzieć: „Wyrzucą was zaraz albo odejdziecie, kiedy zdacie sprawę z konszachców, jakie prowadziliście z Michelozzim”. Tak, zrobił aluzję do tej sprawy. I bawiło go to.

Minister zdołał się opanować i by nadać inny sens słowom don

Gaetana:

– Oczywiście, zwłaszcza teraz: kiedy źle się dzieje, odejście równałoby się ucieczce, dezercji.

– Zdradzie – sprecyzował ironicznie don Gaetano.

– A co do tego, że źle się dzieje, szkoda mówić: rzeczywiście źle się dzieje – wmieszał się do rozmowy komisarz.

– Nie przesadzajmy – rzekł minister.

– Nie przesadzajmy – zawtórował mu jak echo prezes.

– Nie przesadzajmy – przypieczętował Scalambri.

– Słowem, źle się dzieje czy nie? – zapytał wszystkich trzech don Gaetano.

– To zależy z czyjego punktu widzenia – odpowiedział minister.

– Z punktu widzenia – oświadczył komisarz – tego, który trzyma ręce we własnych kieszeniach, dzieje się jak najgorzej.

Zaległa cisza: jak wśród dobrze wychowanych ludzi, którzy spostrzegli, że w ich towarzystwie znajduje się człowiek źle wychowany. Po czym prezes powiedział:

– Nie w tym rzecz, że trzyma się ręce we własnych kieszeniach czy w cudzych? rzecz w tym...

– ...aby można było nadal uprawiać magiczną sztukę sięgania do cudzych kieszeni – uzupełniłem. – To znaczy, aby coś z nich jeszcze wygrzebać.

– Państwo nie jest złodziejem kieszonkowym – rzekł z oburzeniem minister.

– No pewno, że nie jest złodziejem kieszonkowym – potwierdził z mniejszym oburzeniem prezes.

– Ależ panowie – powiedział don Gaetano do ministra i prezesa – nie zechcecie chyba zasmucić mnie utrzymując, że państwo jeszcze istnieje... W moim wieku, przy całym zaufaniu, jakie do was żywię, byłyby to

rewelacja nie do zniesienia. Byłem taki spokojny, że już go nie ma...

Minister i prezes, błyskawicznie wymieniwszy spojrzenia, postanowili uznać to za dowcip. Roześmiali się. Śmieli się jeszcze, kiedy wstaliśmy od stołu.

Wróciłem do hotelu późnym popołudniem? i poszedłem prosto do mojego pokoju, ponieważ skryzalizował mi się już pomysł wizerunku Chrystusa, który obiecałem don Gaetanowi. Nie była to obietnica formalna, ale uważałem, że powinienem jej dotrzymać.

Rysowałem przez kilka godzin. Rękę miałem tylko jakby trochę bardziej nerwową niż zazwyczaj? ale żadna kreska na rysunku nie była chwiejna, nie było w niej ani śladu drżenia. Jedynie tempo pracy było niezwykle i niemal regularne, jak gdyby dyktowane dalekim i tajemnym rytmem muzycznym. Rytmem, który nie chciał stać się motywem, frazą, lecz sączył się i przenikał w przebiegające po arkuszu znaki, w gorączkowo toczące się myśli i obrazy. A myśli i obrazy nie były, jak zdarzało mi się zawsze podczas rysowania, całkowicie oderwane od tego, co kreśliłem i ostro cieniowałem na papierze (nie należy przez to rozumieć cieniowania, jakiego uczą w szkołach rysunków, o ile, rozumie się, takie szkoły jeszcze istnieją).

Nagle usłyszałem w cichym do tej pory hotelu zgiełk, który jak spirala wznosił się z hallu na poszczególne piętra i krążył po korytarzach? burzliwy zgiełk, trzaskanie drzwiami, tupotanie. Ale wyszedłem z pokoju dopiero wtedy, gdy ów zgiełk zaczął opadać i jak gdyby zakrzepł w hallu.

Hall był nabyty jak nazajutrz po pierwszej zbrodni. Wszyscy krzyczeli histerycznie, wypytując się wzajemnie: „Kiedy? Gdzie? Jak?”.

Ktoś znalazł don Gaetana martwego: ale nie było wiadomo, czy w jego pokoju, czy w kancelarii, czy w kaplicy, czy w lesie. Wreszcie ktoś zawołał z zewnątrz: „W lesie, przy starym młynie!” – i tłum wyległ na dziedziniec, rozproszył się i ponownie stłoczył przy ścieżce wiodącej do

starego młyna.

Poszedłem i ja, ostatni, zamykając ów trochę groteskowy pochód mężczyzn w średnim wieku, którzy dysząc i potykając się, prawie bieгли po ścieżce. I słyszałem, jak ci przede mną, z trudem łapiąc oddech, wypytywali, czy don Gaetano został zabity, czy też umarł śmiercią naturalną. Jak gdyby śmierć – a tego don Gaetano powinien był ich nauczyć – nie była zawsze i nieuchronnie naturalna.

Został zabity. Przy starym młynie, jak się okazało, przy młynie, z którego zachował się jeden z kamieni. Teraz kamień, z którego się zsunął, służył mu za oparcie.

Nie doznałem wstrząsu na widok martwego don Gaetana. Śmierć, która nawet głupcom przydaje dostojności, jemu trochę dostojności ujęła. Był zgarbiony i jakby pozbawiony stawów. Nogi, rozwarte prawie pod kątem prostym, napinały sutannę, która przy obsuwaniu się ciała odsłoniła białe pończochy z grubej wełny. Owe pończochy przyciągały wzrok i dlatego, że ich biel odcinała się ostro od czerni butów i czerni sutanny, i dlatego, że nadawały się na zimę, a było upalne lato. Oderwawszy się od pończoch, wzrok – przynajmniej mój – powędrował do binokli, które, uczezione na kordonku, ześliznęły się z piersi na korzeń i leżały tam, dziwnie odbijając promień światła sączący się spośród liści. Wyglądało to jak fragment pomniejszonego obrazu Caravaggia. Mówię: pomniejszonego, bo wszystko w zmarłym don Gaetanie i wokół niego było jakies pomniejszonej powiedziałbym: uszczuplone, marniejsze, przyćmione w stosunku do tego, jaki był za życia.

Nie opodal jego lewej ręki leżał pistolet: krótki, bębnekowy. Tak blisko, że ktoś stojący obok mnie zapytał, czy aby don Gaetano nie popełnił samobójstwa.

Odpowiedziałem:

– To nie do pomyślenia!

– Wszyscy mamy nerwy – sarknął tamten, urażony. I owo potraktowanie zmarłego na równi ze zwykłymi śmiertelnikami, i to przez jednego z jego wyznawców, zdawało się potwierdzać moje wrażenie, że śmierć, przynajmniej w tej chwili, w tej scenie, zdegradowała don Gaetana.

Ustawiliśmy się wszyscy półkolem, o jakie dziesięć metrów od zwłok don Gaetana oraz od Scalambriego i komisarza, którzy stali przy nim i wpatrywali się w niego, jak gdyby oczekując znaku życia, przebudzenia.

Przeszedłem dzielącą mnie od nich odległość i zbliżyłem się do Scalambriego. Z szyderczym śmiechem człowieka zadowolonego z porażki, bo wprawdzie przewidywania jego były słuszne, ale będzie miał teraz mnóstwo pracy i kłopotów, powiedział:

– *Omnia bona tiina.* – Wciąż ta mania na punkcie łaciny. I złąkł się od razu, że owo zdanie, bez tej nuty ubolewania nad sobą, którym było podyktowane, mogło zabrzmieć jak wyraz prawdziwego zadowolenia. – Chciałem powiedzieć: ładna historia. – Tu z kolei określenie ładna wydało mu się niestosowne i poprawił się: – Straszna historia. Potworna historia. – I znowu utkwiał wzrok w zmarłym.

– Intryguje mnie to... – rzekł komisarz jak gdyby do siebie, uważnie oglądając pistolet. I nie dokończył zdania.

– Co pana intryguje? – zapytał Scalambri. U kresu wytrzymałości; jak gdyby mówił, że wszystko, co przychodzi do głowy komisarzowi, jego hipotezy, jego wnioski, jego podejrzenia, nie jest dla niego pomocą, tylko zawadą.

– Pistolet – rzekł komisarz.

– A co pan widzi w tym pistolecie? – Z tym samym zniecierpliwieniem.

– W pistolecie, nic. Ale w fakcie, żeśmy go znaleźli, że chciał, abyśmy coś znaleźli. Coś, co daje do myślenia.

– I uważa pan za stosowne obwieszczać to *coram populo*?

– Przecież nie obwieszczam? odpowiadam tylko na pańskie pytanie.

Scalambri nie odgryzł mu się, bo nie mógł, natomiast powziął decyzję, która zdawała się nagłą, lecz kto wie, czy nie była przemyślana. Zwracając się do tych, których w swojej łacinie nazwał ludem, powiedział:

– Panowie, proszę wracać do hotelu i przygotować się do opuszczenia go w ciągu dzisiejszego wieczora.

Rozległ się szmer sprzeciwu.

– Nie mogę postąpić inaczej... Wymaga tego wasze bezpieczeństwo i odpowiedzialność, jaką ponoszę...

– Słusznie – rzekł minister – może nawet należało pomyśleć o tym trochę wcześniej.

Scalambri nie zareagował na wymówkę. Ale z naciskiem, gniewnie i władczo powtórzył:

– W ciągu dzisiejszego wieczora hotel musi być całkowicie opróżniony, nikt nie może w nim pozostać, nawet koty.

– Nie mamy kotów – powiedział ojciec Cilestri odłączając się od innych i podchodząc do Scalambriego – używaliśmy zawsze trutek na myszy... – Nie wiadomo, czy chciał rozbroić Scalambriego, czy też był tak wstrząśnięty nieszczęściem, że wziął to wyrażenie dosłownie. – Ale ja, inni księża, którzy są ze mną...

– Wszyscy – rzekł Scalambri – wszyscy... Zamykam hotel, ojczco, zamykam i opieczętowuję. – I łagodniejąc: – Proszę was, panowie: idźcie się spakować... Nas czeka tu jeszcze praca.

Poszli, z ministrem na czele.

Co do pracy, pracował tylko fotograf. Potem przyszedł lekarz. Potem dwaj ludzie z płóciennymi noszami, ułożyli na nich don Gaetana i zabrali. Binokle zwiisały z noszy, kołysały się w takt kroków tragarzy.

Towarzyszyłem im aż do furgonetki, która stała przed hotelem. Potem poszedłem do pokoju, aby się przygotować do wyjazdu.

Pozostało mi tylko zamknąć walizki. Wahałem się przez chwilę, czy zabrać książkę, którą poprzedniego wieczora przysłał mi don Gaetano. Zostawiłem ją obok narysowanego przeze mnie Chrystusa.

Jeszcze nie było ciemno, ale stojąc na dziedzińcu przed hotelem, całym oświetlonym, odnosiło się wrażenie, że właśnie te wszystkie światła mają przywołać noc, aby zapadła wokół nas. Niektóre samochody już odjeżdżały. Scalambri i komisarz obserwowali ten exodus. Podszedłem do nich.

– Szybko się uwinąłeś – stwierdził Scalambri spoglądając na moje walizki.

– To zrozumiałe, nie może się pan doczekać chwili wydostania się tego kręgu piekła – dorzucił komisarz.

– Gdyby wszyscy tu pozostali – rzekł Scalambri – skończyłoby się tak, jak w tej powieści Agathy Christie: wszyscy się kolejno wymordowali. I aby znaleźć winnego, musielibyśmy wskrzesić jednego z nich.

– Nie znajdzie się winnego; nie znajdzie się nigdy – powiedział melancholijnie komisarz.

– Ale pistolet? – zapytałem go. – Panu, zdaje się, w związku z pistoletem nasunęła się jakaś refleksja... I przypuszczam, że się zbiega z moją.

– A jaka jest twoja refleksja? – zapytał z pobłażaniem Scalambri.

– Bardzo prosta: dlaczego pistolet, który przepadł po pierwszej zbrodni, zostaje wam podrzucony przy zwłokach don Gaetana?

– A jakże – powiedział komisarz. – To właśnie sobie pomyślałem.

– A jeżeli – mówiłem dalej – don Gaetana zabił ktoś inny, ktoś, kto wiedział, gdzie jest ukryty pistolet, albo znalazł go przypadkiem?

– O Boże – powiedział Scalambri – nie komplikujmy spraw wystarczająco już skomplikowanych... Pistolet był ukryty tam, gdzie schował go ten, kto z niego strzelał do Michelozzigo, i schował go

dobrze; nikt nie mógł o tym wiedzieć i nikt go nie mógł znaleźć ani przez przypadek, ani drogą dedukcji. A jeżeli komisarz jest twojego zdania i dopuszcza możliwość, że mógł go znaleźć ktoś inny, to powinien się kajać za swoje niedołęstwo i bezzwłocznie podać się do dymisji; bo jego obowiązkiem było rewolwer znaleźć, a on przez dwa dni bezskutecznie go poszukiwał robiąc rewizje w pokojach, w walizkach, zaglądając do każdego zakamarka, badając krok za krokiem okoliczny teren. – I mierząc wskazującym palcem w komisarza; – Pan sądzi, że ktoś inny znalazł pistolet, że don Gaetana nie zamordował ten sam człowiek, który zamordował Michelozziego?

– Ja nic nie uważam... Tylko w żaden sposób nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego pistolet pozostawiono tam, obok don Gaetana.

– Bo już nie był potrzebny: to może służyć jako wytłumaczenie. Co pan na to?

– Może – odrzekł komisarz. Ale tylko po to, by skończyć dyskusję.

– A więc skoro mamy takie wytłumaczenie, to po co szukać innych, bardziej skomplikowanych i wprowadzających nowe komplikacje?

– I zwracając się do mnie: – Pomyśl tylko: o tej samej godzinie, kiedy załatwiono don Gaetana, prawie wszyscy byli w swoich pokojach; prawie, to znaczy oprócz mnie, ciebie, komisarza, policjantów, kucharza i reszty służby; no i don Gaetana. W każdym razie wszyscy podejrzani byli w hotelu, każdy w swoim pokoju. Tak mnie przynajmniej zapewniają i przysięgają... Policjant, który trzymał straż na odcinku między schodami a windą, mówi, że nikt nie wychodził, widział parę osób powracających do hotelu, ale nikogo wychodzącego. To samo mówi drugi policjant, który stał na straży przy kuchennych schodach. A komisarz, który tu sobie odpoczywał na leżaku, potwierdza: nikt nie wchodził, nikt nie wychodził. No więc?

Nie otrzymał od nas odpowiedzi i dał ją sobie sam, z satysfakcją:

– No więc znalazłem dość proste i dość rozsądne wytłumaczenie: jeden z trzech, dwaj z trzech, może wszyscy trzej oddalili się na chwilę albo, najprawdopodobniej, ucieli sobie drzemkę.

– Ja nie – rzekł komisarz.

– Dobrze: pan nie ruszył się z miejsca ani się nie zdrzemnął. Dobrze. Tak samo policjant, który stał między windą i schodami. Ale ten, który stał przy kuchennych drzwiach... Zaraz, w którym dokładnie miejscu stał pański leżak?

– Tam – wskazał komisarz.

– I może pan przysiąc, że bez przerwy obserwował pan stamtąd drzwi frontowe i drzwi kuchenne? Zwłaszcza że usadowił się pan tam nie po to, by obserwować, ale by odbyć sjęstę, wypocząć.

– Nie mogę przysiąc.

– A widzi pan: kiedy morderca wymykał się na zewnątrz, policjant mógł się zdrzemnąć, a pan mógł patrzeć w inną stronę. Nie ma innego wytłumaczenia, jeżeli chcemy się utrzymać w granicach rzeczywistości i zdrowego rozsądku. No, a jeżeli zechcemy je przekroczyć, możemy dojść, do czego tylko chcemy: nawet do tego, że to jeden z nas trzech... Proszę: pan mówi, że został tutaj, aby sobie wypocząć; ale to pan mówi... A ty – do mnie – ty mówisz, że poszedłeś... Dokąd poszedłeś?

– Zabić don Gaetana – powiedziałem.

– No widzisz, do czego można dojść, zbaczając z drogi zdrowego rozsądku? – powiedział triumfalnie Scalambri. – Do tego, że ty, ja, komisarz stajemy się podejrzani tak samo jak tamci, a nawet bardziej: chociaż w naszym wypadku nikt nie mógłby się doszukać żadnej pobudki, żadnego motywu... Zawsze to mówię, drogi komisarzu, zawsze: motyw, trzeba znaleźć motyw...

Obaj jechali jakiś czas w milczeniu. Przestało padać; promień

przedarł się przez chmurę. Wśród lekkich wstrząśnień powóz wjeżdżał do Rzymu.

– W takim razie wiem, co mi pozostaje – odparł Antym stanowczym głosem: – Ja was urządzę!

Julius wzdrygnął się.

– Drogi Antymie, niepokoisz mnie. Ani chybi narazisz się na klątwę.

– Czyją? Jeżeli to fałszywy papież, mam to w...

– A ja myślałem, że tym sekretem wieją w twoje serce nieco pociechy – rzekł Julius wstrząśnięty.

– Żartujesz? A kto mi rączy, czy Fleurissoire, przybywszy do Raju, nie odkryje także, że jego Pan Bóg też nie był prawdziwy?

– Słuchaj, drogi Antymie, ty bredzisz! Jak gdyby mogło być dwóch! Jak gdyby mógł być inny.

– Słuchaj! Tobie dobrze mówić, który dla niego nic nie porzuciłeś; ty, któremu wszystko – prawdziwe czy fałszywe – wychodzi na korzyść... Ech, zatrzymaj powóz, trzeba mi powietrza!

Wychylając się z powozu, dotknął laską ramienia woźnicy i kazał zatrzymać. Julius chciał wysiąść razem z nim.

– Nie! zostaw mnie. Usłyszałem już dość, aby wiedzieć, co robić. Zachowaj resztę do swojej powieści. Co do mnie, piszą jeszcze dziś do Wielkiego Mistrza Zakonu i od jutra podejmują swoje kroniki naukowe w „Depeszy”. Pobawimy się.

– Jak to! ty kulejesz? – rzekł Julius zdziwiony, widząc, że Antym

na nowo utyka.

– Tak, od kilku dni wróciły mi dawne bóle.

– A teraz wszystko jest jasne! – rzekł Julius, który nie patrząc za oddalającym się, cofnął się w głąb powozu.^[1]

[1] André Gide, „Lochy Watykanu”, przełożył Tadeusz Żeleński (Boy).

O AUTORZE

Leonardo Sciascia, jeden z najwybitniejszych pisarzy włoskich (rocznik 1921), jest Sycylijczykiem. Fakt ten uważa za decydujący dla swojej twórczości: „Moje pisarstwo i Sycylia mają głęboki związek, przeżywam Sycylię jak problem, jak cierpienie... Często myślę, że gdybym się tutaj nie urodził, nigdy bym nie został pisarzem”. Wyznaje przy tym, że jako pisarz najwięcej zawdzięcza trzem wielkim twórcom sycylijskim – są to: De Roberto, Pirandello i Brancati.

Hiszpański tytuł powieści „*Todo modo*” – wydanej w 1974 roku, przełożonej na kilka języków europejskich – zaczerpnięty jest z pism Ignacego Loyoli. Akcja jej toczy się w prowadzonym przez księży hotelu-pustelni: zjeżdżają tu dostojnicy kościelni i wysoko postawione osobistości ze świata polityki, finansjery i przemysłu, aby pod pretekstem rekolekcji dokonać porachunków i przetargów w celu bardziej lukratywnego podziału władzy. Wątki sensacyjne nie przesłaniają materii nieporównanie bogatszej i wymowniejszej, czegoś, co przypomina dialogi filozoficzne starych mistrzów. Posługując się metaforą, ironią i refleksją, analizuje Sciascia przyczyny kryzysu cywilizacji zachodniej, ujawnia powiązania władzy z mafią, paradoksy współczesnego Kościoła, fałsz komercyjnej sztuki i nudę towarzyszącą swobodzie seksualnej.